ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.



PAWILON ŁOWIECTWA NA WYSTAWIE W POZNANIU.

NR. 25—26. DNIA 22 CZERWCA 1929 R.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 25—26 (530). *WARSZAWA, 22 czerwca 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P.K.O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

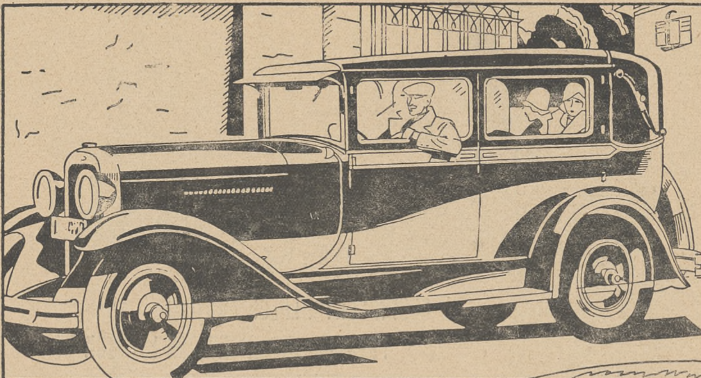
Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.



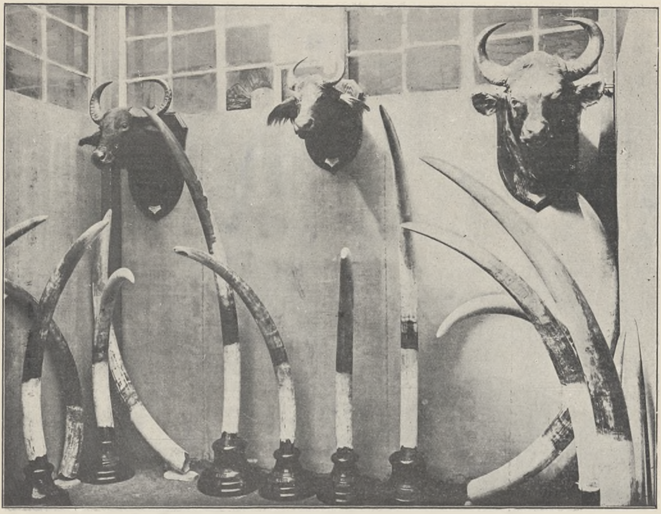


HUMOR MYŚLIWSKI.

Kość słoniowa.

— Czy pan ręczy, że to prawdziwa kość słoniowa?
— Jeśli tylko ten słoń nie miał fałszywych zębów, ręczę!





Leon ks. Sapieha: 2 złote tarcze za kły słoniowe. 2 medale za łby bawole i zbiór cały.

PIERWSZA POLSKA POWSZECHNA WYSTAWA ŁOWIECKA W POZNANIU.

I. UWAGI OGÓLNE.

Z polecenia Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich zwiedziłem Wystawę Łowiecką w Poznaniu, a artykuł niniejszy jest właściwie sprawozdaniem z tego, co widziałem. Ma on za zadanie w sposób objektywny przedstawić wyniki, jakie w urządzeniu wystawy osiągnięto. Czując się zaszczyconym tem, że poruczono mi napisanie niniejszego sprawozdania, zdaję sobie jednak dokładnie sprawę z tego, że mylić się mogę w wielu miejscach. Ale że w organizowaniu wystawy nie brałem żadnego udziału, a przyszedłem wprost do rzeczy gotowej i oglądałem wszystko „na zimno", więc sądzę, że objektywizm mój kwestjonowany być nie może i że to, co piszę, nie może wzbudzić żadnych uraz, czy pretensyj. Chciałbym natomiast, by artykuł mój był zagajeniem dyskusji o wystawie. Dyskusja ta powinna nam dać bardzo wiele, bo wszak taka wystawa jak niniejsza, to ewenement w naszem życiu łowieckiem pierwszorzędny.

Sprawozdanie swoje zacznę od omówienia estetycznej strony wystawy. Otóż pod tym względem daleki jestem od zachwytów. Sam pawilon pod względem architektonicznym jest jednym z gorszych na wystawie, a zdobiący go jeleń zwraca wprawdzie uwagę zdaleka, jest jednak fatalny.

Wewnątrz jest za mało światła. To zapewne skłoniło Komitet Wykonawczy Wystawy, do obrania na tło ścian barwy piaskowej, na której eksponaty wyglądają nieefektownie. Niestosowność tej barwy widzimy odrazu, gdy zwrócimy uwagę na zbiory hr. Ignacego Mielżyńskiego, które na tle ciemno-zielonem wyglądają znakomicie. Niemniej jednak je[illegible]m zdania, że nie powinno się dopuszczać, by poszczególni wystawcy dawali tło własne. Efektem tego jest pstrokacizna, która musi razić.

Połączenie barw piaskowej i zielonej jest w założeniu dobre. Sufit winien być czysto biały, co wpłynęłoby dodatnio na światło w pawilonie.

Napisy naogół wykonane (wydrukowane) są starannie. Jednak obok druków widzimy napisy, robione na poczekaniu ołówkiem, i te rażą bardzo. Sądzę, że czas jeszcze jest to naprawić. Być może zresztą, że Zarząd Wystawy nie zdążył do tej pory wszystkiego wydrukować.

Bezwarunkowo dodatnie wrażenie otrzymuje się, wchodząc na wystawę. Szczególniej efektownie wygląda środkowa część pawilonu, gdzie mieści się popiersie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Eksponatów jest tu mało, ale za to są one pierwszorzędne, że wspomnę o kapitalnym tygrysie Józefa hr.

Potockiego i bawołach Leona ks. Sapiehy. Dalej bardzo ładnie rysują się kły słonia księcia Sapiehy.

Rozkład sal i rozmieszczenie zbiorów jest bardzo dobre. Naogół widać, że wystawiający starali się o estetyczne rozmieszczenie swych zbiorów, w czem bez wątpienia służył im radą i pomocą Komitet W. Zw. Myśl. Nie wszystkim się to naturalnie udało, bo też nie wszyscy rozporządzali odpowiednio pięknymi eksponatami.

Z pięknie wystawionych zbiorów na uwagę zasługują przedewszystkiem: hr. Zdzisława Tarnowskiego, br. Gedlów, pp. Barańskich, hr. Mielżyńskiego, p. K. Chłapowskiego i p. Pętkowskiego. Jednak bezwarunkowo na pierwszem miejscu pod względem wyjątkowo ładnego, estetycznego i starannego rozplanowania poszczególnych eksponatów, należy postawić piękne zbiory hr. Maurycego Potockiego.

II. STRONA NAUKOWA.

Na naukową i dydaktyczną stronę wystawy zwrócono zbyt mało uwagi. Dotyczy to zarówno samej wystawy, jak i opracowania przewodnika. Broszura sprzedawana przy wejściu jest właściwie tylko katalogiem wystawy. Katalog ten daje spis wystawców i eksponatów, ułatwia ich odnalezienie i nic więcej. Sądzę, że to mało. Prócz tego należało wydać specjalny, starannie opracowany przewodnik. Przewodnik ten, za katalogiem, winien omawiać poszczególne eksponaty pod względem naukowym i myśliwskim. Winny być w nim podane wymiary poszczególnych trofeów; ich zestawienie według naszych rejonów myśliwskich, kolejność ich klasyfikacji. Dalej powinien on zawierać omówienie tych zasad, na których opierało się jury przy premjowaniu. Osobno winny być w nim zestawione spisy najlepszych wieńców, łopat, parostków, szabel dziczych i t. d.

Przewodnik taki miałby ogromne znaczenie pedagogiczne i wpłynąłby bezwarunkowo na podniesienie się naszej kultury myśliwskiej. Każdy polujący, zwiedzając wystawę z takim przewodnikiem, musiałby zrozumieć, czem jest myślistwo, każdy nauczyłby się czegoś. Tak jak jest, nauczyć się czegoś jest trudno. Zorjentować się w wystawie może tylko bardzo wytrawny myśliwy i to taki, który poświęci na to bardzo dużo czasu. W rezultacie dokładne zapoznanie się z wystawą i ocenienie jej, dostępne jest tylko dla tych nielicznych myśliwych, którzy stanowią najwyższą klasę naszego łowiectwa i którzy, nawiasem mówiąc, znają przeważnie zdawna bardzo dużo wystawionych eksponatów.

To co mówię o katalogu, dotyczy w znacznym stopniu i samej wystawy, która powinna nie tylko obejmować zbiory poszczególnych myśliwych, ale powinna również nauczać, czem jest współczesne łowiectwo polskie.

Pewne usiłowania w tym kierunku widać zresztą. Tak więc uznane przez jury za najlepsze trzy pary parostków zostały umieszczone osobno, toż samo uczyniono z szablami dzików. Tego jednak mało. Podobnie winny być wyróżnione i inne trofea, a już bezwarunkowo wieńce jeleni. Nie poprzestałbym przytem na trzech, a zestawiłbym razem większą ilość najlepszych. Wtenczas orjentowanie się w klasie poszczególnych trofeów byłoby łatwem. Obecnie orjentacja ta jest trudna, tembardziej, że nie są podane rezultaty pomiarów.

Taki dział „trofeów wybranych" uważam za jeden z ważniejszych na wystawie. Należy mu poświęcić specjalną uwagę i odpowiednią ilość miejsca. Jeśli zaś miejsca brakło, to można przy wszystkich odznaczonych trofeach podać ich pomiary, które wszak były robione przez jury. Wtenczas różnice pomiędzy poszczególnemi trofeami staną się daleko widoczniejsze, i jasnem się stanie, czem powodowali się sędziowie w przyznawaniu nagród. Obecnie zwiedzający wierzyć musi jedynie oku, które wszak często zawodzi.



Ppłk. rez. Konstanty Chłapowski:
Złoty puhar za najlepszą kolekcję wieńców jeleni Kresów zachodnich.
3 złote tarcze za wieniec jelenia, łeb dzika i kolekcję parostków.
14 (czternaście) medali za wieńce, parostki i cały zbiór.

Przechodząc do określeń naukowych wystawionych eksponatów, muszę z przykrością stwierdzić, że nie są one poprawne, a częstokroć są zupełnie fałszywe. Dla przykładu przytoczę tu kilka bardziej rażących błędów. A więc samica bataljona (Philomachus pugnax) oznaczona jest jako „kwokacz szary" — „Glottis totanus", brodziec kwokacz (Glottis nebularia) oznaczony jest jako „łęczak leśny" — „Ryaco-

philus glareola". „Drost" to kwiczoł (Turdus pilaris). W katologu czytamy, że NN 1280 i 1281 są to jastrzębie, a jednak są to myszołowy.

Niektóre gatunki ptaków, i to odznaczonych, są zupełnie nieokreślone, a zauważyłem, że nimi właśnie interesuje się publiczność, napróżno starając się dowiedzieć, z czem ma do czynienia. Dodam nawiasem, że odznaczanie jakichś rzadszych gatunków ptaków lub albinosów uważam za niewskazane.

Za godny najwyższego uznania uważam apel do myśliwych, by rogów od czaszki nie odcinali. Na przyszłej wystawie, jak to proponuje Komitet Wystawy, bezwzględnie odznaczane powinny być tylko te rogi, które będą nadesłane wraz z czaszką. Rogi obcięte winny być bezwarunkowo dyskwalifikowane. Rygor ten można stosować naturalnie tylko do tych trofeów, które będą zdobyte od czasu zapadnięcia odpowiedniej uchwały, którą powinien powziąć Centralny Związek.

Za najciekawsze w dziale naukowym uważam tablice rozmieszczenia zwierząt łownych w Poznańskiem. Dotyczą one: jelenia, dzika, daniela, bażanta, cietrzewia, dropia, sarny, zająca i kuropatwy. Zostały one opracowane przez inż. Tadeusza Mejera. Praca to była ciężka i trudna. Jest ona godna najwyższego uznania. Dziwnem też wydaje mi się, że nie została ona odznaczona. Byłoby szkodą niepowetowaną, gdyby tablice te po zamknięciu wystawy przestały być dostępne dla ogółu. Opublikowanie ich wraz z dopełniającym tekstem uważam za konieczność. Pieniądze na ten cel powinny się znaleźć.

Tablice powyższe wystawione zostały pod egidą Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Również bardzo ciekawe, ładne i pouczające są inne eksponaty tej zasłużonej dla łowiectwa polskiego organizacji. Widzimy wśród nich modele domków myśliwskich, klatki do chwytania bażantów i t. d. Bardzo ładny wzór bażantarni wystawił p. Karol Gruiński. Zainteresowanie budzą eksponaty „Pierwszego Polskiego Instytutu Łowiectwa".

W dziale literatury i sztuki wystawiono trochę współczesnej literatury. Wielka szkoda, że nie wystawiono całości polskiej literatury łowieckiej. Nie sądzę, by to było trudnem. Wszak mamy bibljofilów, którzy mają w tym zakresie kapitalne zbiory.

III. - PAROSTKI.

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że w żadnym dziale wystawa nie została tak dobrze obesłana, jak w tym właśnie. Wprawdzie między zbiorami znajduje się dużo rzeczy miernych i słabych, niemniej jednak widzimy bardzo dużo parostków wprost kapitalnych, a między nimi i rekord świata, jaki stanowią parostki hr. Mycielskiego.

Wyszczególnienie wszystkich odznaczonych trofeów, zajęłoby tu zbyt wiele miejsca. Zresztą spis tych odznaczeń został wydrukowany w N-rze 23 „Łowca Polskiego" i powtarzanie uważam za zbyteczne. Poprzestanę więc na ogólnych uwagach na temat wystawionych zbiorów, czy pojedyńczych okazów.



Fragment z Wystawy łowieckiej.

Za trzy najlepsze zostały uznane przez jury następujące rogacze: I — generała Raszewskiego — z Poznańskiego, II — p. Z. Glinki — z Kieleckiego, III — p. S. Muszyńskiego — z Poznańskiego.

Niewątpliwie wszystkie te trzy rogacze są kapitalne i wszystkie zasługują na wysokie odznaczenie. Nie mogę się jednak zgodzić na to, by na wystawie nie było lepszych od nich. Niewątpliwie najsilniejszym jest rogacz hr. Mycielskiego, który nie dostał odznaczenia, nadszedł bowiem za późno. Czemu jednak przypisać, że rogacz p. Knothego, który został odznaczony złotą tarczą, nie otrzymał miejsca? Rogacz ten pod względem masy poroża ustępuje znacznie rogaczowi hr. Mycielskiego, bije go jednak formą, pięknem i re-

gularnością kształtów. Jest on bezwzględnie najpiękniejszym rogaczem na wystawie, i zdaniem mojem, powinien był otrzymać pierwsze miejsce.

Być może, rogacz generała Raszewskiego ma większe wymiary i większą masę rogów. Jest jednak, co każdy przyzna, brzydki. Przy kwalifikowaniu zaś nie można brać pod uwagę jedynie wymiarów, bo to musi doprowadzić do wyników paradoksalnych. De-



Maurycy hr. Potocki:
Stoisko. Z prawej strony między skrzekotami dubeltówka wykonana przez nadwornego puszkarza Kornackiego dla króla Stanisława Augusta; dubeltówka i pojedynka z XVIII wieku.

cydować winien rezultat, jaki otrzymamy po zestawieniu pomiarów z klasyfikacją formy (extérieur).

Złote tarcze za kolekcje parostków otrzymali: ppłk. K. Chłapowski, p. Z. Glinka, p. E. v. Witzleben i hr. S. Łącki.

Niewątpliwie najlepszą z tych kolekcyj jest kolekcja p. Glinki, pochodząca z okolic słynących wogóle z kapitalnych rogaczy. Wielka szkoda, że wszystkie rogacze p. Glinki są źle obcięte. Na uwagę zasługuje zbiór zrzutów rogacza za czas od r. 1915 do 1928.

Niezłe są parostki, wystawione przez hr. Marję Szembekową, które, jako całość, nie zostały premjowane, a otrzymały tylko 2 medale srebrne i trzy bronzowe. Obok zwracają uwagę parostki p. J. Koraszewskiego z Łódzkiego, świadczące, że Łódzkie wogóle odznacza się dobrymi parostkami.

Bardzo ładne są rogacze p. E. v. Witzlebena z Poznańskiego. Mam jednak wrażenie, że niektóre z tych rogaczy mogłyby dłużej poczekać na odstrzał. Po roku lub dwóch byłyby napewno jeszcze silniejsze.

Że Poznańskie odznacza się dobrymi parostkami, wiemy o tem oddawna. Żywym dowodem tego jest duża ilość wystawionych i premjowanych rogaczy strzelanych w tej dzielnicy. Uwagę zwracają przedewszystkiem zbiory hr. Żółtowskiego, hr. S. Łąckiego, ppłk. K. Chłapowskiego i generała Raszewskiego. Obok zbioru gen. Raszewskiego wiszą dwie pary parostków p. Z. Galińskiego. Dwie pary tylko, ale obydwie (i słusznie) odznaczone: jedna medalem srebrnym, druga bronzowym.

Zupełnie niezrozumiałe jest dla mnie, dlaczego w premjowaniu pominięto zupełnie zbiory p. L. Kiszakiewicza? Zawierają one sporo pierwszorzędnych rogaczy, niejednokrotnie lepszych od wielu, które otrzymały odznaczenia.

Ciekawe myłkusy widzimy w zbiorach: baronów Groedlów, p. Kiszakiewicza, gen. Raszewskiego, p. W. Janta - Połczyńskiego, p. J. Pełkowskiego, ppłk. K. Chłapowskiego i hr. S. Sumińskiego.

Na specjalną uwagę zasługuje zbiór hr. Hieronima Tarnowskiego z Rudnika (Małopolska). Jest to „Pokaz odnowienia zwierzostanu sarn, niemal doszczętnie zniszczonego podczas działań wojennych 1914—1915". Zbiór ten zawiera wyłącznie trofea zdobyte w czasie i po wojnie, albowiem trofea przedwojenne zostały zrabowane w czasie wojny. Mamy tu 8 rogaczy strzelonych w latach 1915-1925, obok zaś trzy tarcze przedstawiające ogólny rezultat podjazdów w latach 1926 (16 par), 1927 (14 par) i 1928 (20 par). Jakkolwiek wśród parostków tych niema takich, które wybijałyby się, czy to rozmiarami, czy pięknem formy, to jednak sporo jest między nimi normalnie dobrych. Całość zaś czyni wrażenie niezwykle dodatnie i przedstawia w sposób dobitny, do jakich rezultatów dojść można przy starannej i umiejętnej hodowli. Tutaj zwracam szczególną uwagę zwiedzających na rząd parostków (8 par), umieszczonych na dole, a odstrzelonych w celu usunięcia z rewiru rogaczy złych.

Kończąc powyższe uwagi o parostkach, chciałbym przy okazji zwrócić uwagę myśliwych na to, jak nieestetycznie wyglądają trofea oprawione na rozmaitych, „fantazyjnie" rzeźbionych tarczach. Niektóre z tych tarcz są poprostu fatalne. Czyż nie najlepiej wyglądają (jeśli już są obcięte) parostki sarnie lub szable odyńców oprawione na skromnej, gładkiej tarczy?

IV. — WIEŃCE.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że pod względem ilościowym wieńce jeleni, nadesłane na wystawę, ustępują parostkom sarnim. Niemniej jednak nadesłano tych wieńcy pokaźną ilość i to z różnych dzielnic Polski. Jury, które w tym dziale, mam wrażenie, pracowało dużo staranniej i z większem zainteresowaniem, aniżeli w dziale parostków, rozdzieliło wszystkie trofea na 4 kategorje: I — Jelenie karpackie, II — Jelenie Małopolski, III — Jelenie Kresów Zachodnich, IV — Jelenie Polski Środkowej.

Podział taki jest naturalnie słuszny i konieczny. Dyskusji podlegać mógłby ewentualnie tylko podział na „jelenie karpackie" i „jelenie małopolskie". Dyskusja taka winna być wszczęta i zakończona przed następną wystawą. Na razie jednak wszczynać jej nie będę. Zaznaczę tylko, że o ile chodzi o niniejszą wystawę, to podział ten nie był konsekwentnym. Naturalnie osobną kategorję muszą tworzyć jelenie tatrzańskie i osobną Kresów Wschodnich. Niestety, takowych nie przysłano. Dopiero 8 czerwca kapitalnego byka, odznaczającego się prześlicznem uperleniem, nadesłał hr. Maurycy Potocki. Byk ten został zabity w nadleśnictwie Kossowskiem. Szkoda, że na czas nie przyszedł. Bezwątpienia byłby otrzymał złotą tarczę.

O ile chodzi o najwyższe odznaczenie, to wypadły one w sposób następujący:

I. Karpaty: 1 miejsce — byk baronów Groedlów, 2 miejsce — byk hr. Marji Szembekowej, 3 miejsce — byk baronów Groedlów.

Złote tarcze, prócz tego otrzymały byki: hr. Z. Tarnowskiego, o. M. Chłapowskiego, p. L. Martyńca, księcia Olgierda Czartoryskiego i 3 byki baronów Groedlów.

Puhar złoty za zbiór jeleni karpackich otrzymali baronowie Groedlowie, tarczę złotą pp. Barańscy.

II. Małopolska: 1 miejsce — byk hr. Stefana Sumińskiego, 2 miejsce — byk hr. Zdzisława Tarnowskiego, 3 miejsce — byk hr. Zdzisława Tarnowskiego.

Puhar złoty za zbiór jeleni z Małopolski otrzymał hr. Zdzisław Tarnowski.

III. Poznańskie: 1 miejsce — byk p. Jana Pętkowskiego, 2 miejsce — byk p. Konstantego Chłapowskiego, 3 miejsce — byk hr. Stanisława Łąckiego.

Pozatem złote tarcze otrzymali: książę M. Radziwiłł i Dr. Z. Skarzyński.

Puhar złoty za zbiór jeleni z Poznańskiego otrzymał p. Konstanty Chłapowski, tarczę złotą książę M. Radziwiłł.

IV. Polska środkowa: 1 miejsce — byk p. Jana Dembińskiego, 2 miejsce — byk p. Jana Dembińskiego.

Prócz tego p. Dembiński za zbiór dostał złotą tarczę.

Wśród jeleni karpackich nie został premiowany kapitalny byk hr. Juljusza Bielskiego. Naturalnie tylko dlatego, że został nadesłany zapóźno. Prześliczny, nieprawidłowy 22-ak p. Stanisława Lilpopa o klasycznie wykształconym wieńcu, zabity w środkowej Polsce, również przyszedł zapóźno i nagrody nie mógł dostać.

Co do byka p. Pętkowskiego, który słusznie otrzymał pierwszą nagrodę w klasie jeleni z Poznańskiego, to szkoda, że jest on wypchany (głowa z szyją). Jestem zdania, że na przyszłość tak wystawione wieńce powinny być dyskwalifikowane.

Jakkolwiek nadesłano mało wieńcy jeleni karpackich, to są jednak między nimi niektóre rzeczywiście kapitalne. W szczególności wyróżniają się zbiory baronów Groedlów i hr. Zdzisława Tarnowskiego. Nie jest to jednak maximum tego, co mogą dać Karpaty. Oglądałem niedawno i mam dobrze w pamięci bogaty zbiór wieńców karpackich w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Budapeszcie. Są tam prawdziwe cuda natury i narazie dorównać Węgrom pod tym względem nie możemy.

Ciekawy zbiór zrzutów jelenia za lata od 1899 do 1913 wystawił p. Eberhardt Lehmann-Nitsche. Zmiany wieńca tego byka w kolejności lat przedstawiają się jak następuje:

Rok 1898	— szpicak,			
„ 1899	— 10-ak niepr. (?!),			
„ 1900	— 12-ak „			
„ 1901	— 14-ak „			
„ 1902	— 14-ak „			
„ 1903	— 14-ak „			
„ 1904	— 14-ak praw.,			
„ 1905	— 14-ak „			
„ 1906	— 14-ak „			
„ 1907	— 14-ak „			
„ 1908	— 16-ak niepr.			
„ 1909	— 14-ak niepr. (objawy schorzenia),			
„ 1910	— 14-ak „	(wyraźne objawy schorz.),		
„ 1911	— 12-ak „	(silne	„	„
„ 1912	— 12-ak praw.	„	„	„
„ 1913	— 12-ak praw.	„	„	„

Zbiór ten jest bardzo pouczający, jakkolwiek trzeba pamiętać, że są to zrzuty jelenia trzymanego w niewoli, u którego proces rozwoju rogów nie przebiegał normalnie. Najlepszy wieniec byk ten osadzał w latach od 1904 do 1908.



Fragment ze stoiska Maurycego hr. Potockiego:
2 złote tarcze za szable dzicze i łby wilcze.
9 medali: za dzika, 3 rysie, głuszce, cietrzewie, 2 skrzekoty, gągola i cały zbiór.

V. — SZABLE.

Szabel jest na wystawie sporo, a między niemi znajduje się dużo bardzo pięknych. W pierwszym rzędzie wybijają się szable p. Henryka Preka, generała Szeptyckiego, hr. Maurycego Potockiego, p. Barańskiego i ks. Andrzeja Lubomirskiego. Z nich wszystkie dostały tarcze złote, z wyjątkiem pary ks. Lubomirskiego, która została odznaczona medalem srebrnym. A jednak mam wrażenie, że para ta nie jest gorszą od pary p. Barańskiego, uznanej za trzecią na wystawie.

Dwie najlepsze pary to generała Szeptyckiego i p. Preka. Bez pomiarów trudno jest naturalnie sądzić, która z nich jest lepsza. Oko (które jednak może zawodzić) daje wyższość szablom p. Preka. Są one w każdym razie dłuższe, jakkolwiek cieńsze. Dlaczego szable te nie uzyskały I-go lub II-go miejsca, nie rozumiem. W katalogu ich niema, z czego wynika, że nadeszły za późno. Jeśli jednak mogły być mimo to odznaczone tarczą złotą, to mogły też, jak sądzę, otrzymać i miejsce.

okazy melanistyczne, nie tak piękne jednak, jak wilk przysłany przez Polskie Towarzystwo Łowieckie. 8 wilków wystawił hr. Maurycy Potocki. Wilki te są prawdziwą ozdobą wystawionych przez niego zbiorów. A jednak szkoda, że są to tylko wypchane głowy. Byłbym zdania, że jako trofea winny być zachowywane całe skóry wilków. Tak samo w skórach należy zachowywać rysie. Przyjęło się, że rysie są wypchane, przyczem zwykle są one wypchane bardzo źle, wskutek czego, zamiast być ozdobą trofeów, szpecą je. Rysi nadesłano kilka bardzo ładnych. Najlepszym z nich jest bezwątpienia ryś, zabity przez p. Kiełczewskiego na terenach Poleskiego T-wa Myśl. w puszczy Wiado-Tupickiej w 1928 r. Ryś ten wisi między zbiorami hr. Bielskiego i p. Dembińskiego. Numeru nie posiada. Bezkonkurencyjny jest też żbik hr. Bielskiego.

Niedźwiedzi jest kilkanaście, z nich 5 wypchanych stanowi prawdziwą ozdobę wystawy.

Głuszcy bardzo mało. Piękny rozkład cietrzewi z Polesia widzimy w zbiorach hr. M. Potockiego.



Jan Pętkowski z Kożuszkowa:
2 tarcze złote za wieniec jelenia i łeb dzika.
7 medali za dzika, parostki, sokoła, skóry lamparcie i zbiór fotografij.

I-e miejsce otrzymały szable generała Szeptyckiego, II-e hr. M. Potockiego, III-e p. Barańskiego.

Jeśli jednak do konkursu weźmiemy szable p. Preka i świetny zbiór hr. J. Bielskiego, który niestety, nadszedł za późno, to kolejność ta ulegnie dużej zmianie.

Złote tarcze za kolekcję szabel otrzymali: hr. Zdzisław Tarnowski, baronowie Groedlowie, p. Józef Jabłonowski i ks. Andrzej Lubomirski. Na pierwszem miejscu jednak należy postawić zbiór hr. Bielskiego.

Dlaczego, wiszące osobno, uznane przez jury za najlepsze, 3 pary szabel mają napis „najlepsze kły"?

VI. — INNE TROFEA.

Łopat łosi, zasługujących na uwagę, niema na wystawie. Danieli jest bardzo mało; zwracają uwagę jedynie okazy hr. Ignacego Mielżyńskiego.

Bardzo ładny zbiór skór wilczych wystawili baronowie Groedlowie. Między niemi znajdują się trzy

Trofeów egzotycznych wystawiono bardzo mało. Trzeba jednak przyznać, że to co wystawiono, jest pierwszej klasy. A więc kły słoni i świetnie wypchane głowy bawołów ks. Leona Sapiehy, tygrys hr. Józefa Potockiego i skóry lampartów p. Pętkowskiego. P. Pętkowski miał zamiar wystawić całość swych trofeów z wyprawy afrykańskiej, niestety jednak zbiory te nie nadeszły na czas.

Szkoda, że trofeów egzotycznych jest tak mało. Wszak mamy w Polsce sporo myśliwych, którzy mieliby się czem pochwalić. Z drugiej strony jednak nasuwa się pytanie, gdzie pomieściłyby się te zbiory?

VII. — BROŃ.

Na słusznem stanowisku stanął Komitet Wystawy, dopuszczając na wystawie jedynie broń, wykonaną w kraju. Stąd też dział ten wypadł bardzo ubogo i jest prawie wyłącznie reprezentowany przez montaż lunet, różne półfabrykaty i t. p. Jest jednak i kilka sztuk broni, wykonanych całkowicie w kraju.

Starą broń wystawili: p. Zbigniew Dzierżykray-Morawski, hr. Maurycy Potocki, hr. Stanisław Łącki i hr. Dobiesław Kwilecki.

Z broni tych na uwagę zasługuje przedewszystkiem prześliczna dubeltówka, z odwracanemi lufami, wykonana przez nadwornego puszkarza Kornackiego dla króla Stanisława Augusta. Jest ona własnością hr. Maurycego Potockiego.

Kończąc to sprawozdanie, muszę podnieść ogromne zasługi Wielkopolskiego Związku Myśliwych w urządzeniu tej wystawy. Naogół wypadła ona dobrze, a jeśli tu i owdzie są usterki, to są one bodaj w imprezie tego rodzaju nie do uniknięcia.

Całe myślistwo polskie winno jest głęboką wdzięczność Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych, a w szczególności Komitetowi Wykonawczemu Wystawy w osobach pp. Konstantego Chłapowskiego, Władysława Kostro i Stefana Leporowskiego za dzieło, którego dokonanie nastręczało tak wiele trudności.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



Jan Pętkowski z Kożuszkowa:
3 skóry lampartów ubitych 1928 r. w Afryce Wschodniej.

REFLEKSJE.

Trzynasty maja 1929 roku był jednym z tych ciepłych dni wiosennych, które prawie że już letnim upałem Poleskie prażą knieje.

A że w przeddzień spadł deszcz, zieloność nad wyraz spóźniona, zmrożona zimą straszną, o jakiej najstarsi ludzie nie słyszeli, rozchylała z natężeniem ogromnem zdrętwiałe pęki, i listkami drobniutkimi, w ciepłych promieniach słońca się kąpiąc, w oczach, pełności, kształtów i barwy, nabierać się zdawała.

Wieczór po takim dniu nastał cichy i przejrzysty. Powietrze, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, stawało się chłodne i rzeźkie. Gonny bór wchłaniał w siebie umierające promienie, jeno brzozy, rozpalone całodziennem ciepłem, pachniały coraz mocniej, a parująca ziemia i wilgoć moczarów coraz dalej i coraz silniej ten zapach roznosiła.

Zresztą poprzez dominującą woń młodej brzozy, pachniał las cały; pachniała ziemia, świerki, trawka rosą uperlona, a ptactwo rozśpiewane, zdawało się niczem nie mącić tej ciszy leśnej, zlewając się swym świergotem, w jedną całość z tym tysiącem gam, zapachów i świateł gasnącego dnia, oraz różnych odgłosów lasu, które tworzą ten wieczór wiosenny.

W taki wieczór chrap nadciągającej słonki rozkoszą serce myśliwskie napawa, taki wieczór chyba nikomu nie pozwoli obojętnie się przeżyć, i sądzę, że chyba każda istota żyjąca, choć na chwilę przystanie, by się w ten wieczór wsłuchać, pełną piersią go wchłonąć, i wspomnienie o nim w szarzyznę życia za sobą ponieść...

Myśliwy ma to dane od Boga, że wie, gdzie i kiedy takie wieczory odszukać, a chwile wówczas przeżyte, płacą sowicie za trudy i to, co innym warjactwem się wydaje.

To też, choć w przeddzień późno wróciłem z Poznania, a pojutrze miałem ruszyć przez Wiedeń, w Alpy, skąd raporty o głuszcach najpóźniej na 16.V. mnie wzywały, mając parę spraw Poleskiego Tow. Myśl. do załatwienia w Iwacewiczach na Polesiu, oraz w Dyrekcji w Białowieży, nie wahałem się ani chwili, puściłem w ruch motor swego Daimlera, by nie odkładać załatwienia interesów, a może przy tej okazji ostatni raz na ciągu stanąć.

Jakoteż, te 350 km. tam i z powrotem opłaciło mi się sowicie, wszelkie sprawy załatwiłem nader pomyślnie i trafiłem na jeden z tych wieczorów na ciągu, o których zapomnieć jest trudno.

Stałem w brzeźniaku na linji oddziałowej, nad smugą wody na Polesiu „brodkiem" zwanej. Na prawo odemnie nierąbany oddział wierzchołkiem ściany wysokich świerków, ostatnie promienie zachodzącego słońca złotym odblaskiem łowił, gdy chrapnęła pierwsza słonka, przeciągając na lewo odemnie, ponad wzgórkiem, gdzie na polankach zasłanych szmaragdem młodej trawy, wśród białych pni brzózek, ciemno zieloną czapą świerczek gdzieniegdzie się znaczył.

Słonki ciągnęły bardzo wysoko, nie trzymając się jednego miejsca. To też chrapnięcia rozlegały się zewsząd: to nad ścianą wysokiego lasu, to za moimi plecami, to hen, po za polanką na lewo. Czasami

chrap się zbliżał, by w ostatniej chwili zawrócić, lub dać tylko oku radość ujrzenia pławnego lotu długoskrzydłego ptaka, z tamtej strony brodku. Po pierwszym, zbyt dalekim i nieudanym strzale, nareszcie ucho złowiło ten upragniony chrap, którego kierunek był już napewno na strzał. Wysoko! Lecz w strzale załamał się lot i ukośnie osunęła się „ptaszka" ku ziemi.

Poczem znów parę bocznych, i znowu ciągnie ta moja! Lecz tym razem jeszcze wyżej, chyba już za wysoko! Ufam swej broni — sprobuję — zakładam sporo, i sam zdziwiony, patrzę, jak rozpostarłszy skrzydła, niby liść jesienny „korkociągiem" spada upragniona zdobycz.

Strąciwszy jeszcze jedną, przenoszę się na polankę, za mymi plecami na lewo, bo tam częstsze rozlega się chrapanie. Lecz wieczór już pomroką las otulać zaczyna, i słonki zacichły. Zdala kaczor zapszykał, więc wabić zaczynam, i pod świerczek rosochaty się chowam.

Sierp „mołodzika" nad pachnącym wieczorem bladem światłem się ściele, a jasna smuga na zachodzie, dzień nocy we władanie oddaje. Powietrze jest tak rzeźkie i czyste, że nawet mgły wieczorne, z chłodnej jeszcze ziemi, boją się powstać, i noc jasna las do snu otula. Ptaki ucichły, jeno kaczor znowu się odezwał. Widocznie usłyszał mój wab, bo coraz mniejsze kręgi dookoła mnie zatacza. Przytulam się do świerczka, pod którym na polance stoję... Słychać, że nadlatuje coraz bliżej, i naraz z po za świerkowej zasłony, na tle ciemniejącego szybko szafiru nieba, wychyla się długa szyja ze skrzydły w tle tułowia. Błysnął ostatni strzał, zadudnił spadający ptak na rosistej polanie.

Wracałem koło poręby, na której palono stosy gałęzi. Ognie strzelały snopami iskier pod strop sąsiedniej ściany nierąbanej kulisy. Czerwone światła promieni ześlizgiwały się po tej czarnej kotarze nocą spowitego lasu, by rozpłynąć się w górze różowym jakimś odblaskiem, na tle srebrzystego szafiru, który na niebie sierp księżyca, tam w przestworzu rozlewał.

Cicha i wonna noc majowa spowiła poleskie bory, błota i moczary... Gdzieś zachrapała spóźniona słonka.

Trzask ognisk cichł, jakiż cudny był ten wieczór! Mój Daimler nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, bez defektu warczał motor z małemi przerwami przez następne 2 i pół dnia, i na trzeci ranek przebywszy blisko 1200 kl., skakałem pod pieśń głuszca na stromem zboczu Alpejskiem.

Zmieniło się piękno natury, lecz pięknem jest tak, że choć już raz o górach pisałem, zamilknąć mi tutaj niepodobna.

Tam na Polesiu wiosna rozkwitła już w pełni i nigdzie tchnienia zimy odczuć nie można; tu, choć pod nogami w dolinie kwitną sady na tle zieleni tak świeżej, że oka oderwać od niej trudno, w kniei świerkowej, gdzie głuszec tełęka, ścielą się miejscami zaspy zimowego śniegu tak wielkie, że zapadając się w nie po pas, z trudem się człowiek z nich wydobywa.

Jednak—w śnieg zniszczony wiosną, mokry, miękki, wodnisty. Pogoda niepewna. Popielate chmury przewalają się leniwie, to pod stopami zasłaniając dolinę, odsłaniają śnieżne szczyty, to znów zalewając najbliższe otoczenie, odsłaniają życie na dole. Widać domki, niby z kartonu, kościołek, ludzi posuwających się, jak mrówki po drogach. Gdzieniegdzie pędzi chmurka zapóźniona, dopóki wiatr jej nie rozpędzi, lub nowe większe chmurzyska nie wchłoną w siebie. Lecz mimo deszczu, który popaduje, mimo śniegu, który go nieco wyżej zastępuje, jest wiosna i tu i tam; tu inna, tam inna, lecz wiosna bez wątpienia. Czuć to w zapachu powietrza, w pobekiwaniu rogacza, który do mej „hütty" *) się zbliża. Widać to naokoło; tak samo, jak i u nas, brzozy pękają i trawka się zieleni.

Głuszec tu gra może wspanialej, na wierzchołku olbrzymiego świerka lub modrzewia się sadowiąc, a pieśń, choć słychać ją nie tak daleko, jest jakby dobitniejsza i dźwięczniejsza.



Bracia Edward i Stanisław Kurnatowscy z Pożarowa - Biedronia:
Złota tarcza (Stan. K.) za łeb dzika.
10 medali za niedźwiedzia, wieńce jelenia, łopaty łosia, parostki i cały zbiór.

---

*) Domek myśliwski w górach, jednopokojowy.

Klapanie jest tak ostre i suche, że zdaje się w uszach poprostu świdrować, a sam widok tego króla ptaków w tem obramowaniu, jest czemś, czego pióro oddać nie jest w stanie.

Dwa ranki bezskutecznie głuszca podchodziłem. Raz doszedłem nawet do strzału, lecz odległość, spowodowana wysokością świerku, na którym grał, oraz układ zasłaniających go gałęzi sprawiły, żem ptaka nie dostał. Drugi raz, będąc już pod głuszcem, zmuszony byłem się odsłonić, a że było już jasno, kogut mnie zoczył i cicho spłynął w mgłę.

To też z niezwykłem napięciem skakałem dnia trzeciego. Ranek był zlekka mglisty i parny, głuszec grał z przerwami; skakałem długo i było już zupełnie jasno, gdy znalazłem się pod świerkiem, z którego pieśń płynęła.

Tym razem spuszczałem się po stromej pochyłości na ukos ku głuszcowi, opierając się mocno na kiju alpejskim, z każdym muskułem naprężonym, by nie obsunąć się, lub nie stanąć w pozycji zagrażającej upadkiem w przerwach między pieśniami.

Cały byłem rozdygotany, gdy mój góral z gorącym uściskiem dłoni i serdecznem „waidmansheil" podawał mi gałązkę świerczyny, lecz i ten prosty syn gór był niemniej odemnie wzruszony.

W takich chwilach widzi się i czuje, że serce myśliwskie jest jednakie, że dusza myśliwska jest jedna.

Może was znudziłem, drodzy koledzy myśliwi swymi ciągłymi opisami tych samych tematów, lecz co na sercu leży, ot tak poprostu przelewam na papier. I gdy piszę te słowa, już nieraz pisane, zadaję sobie pytanie, po co to piszę raz po raz?

Po co staram się oddać to piękno natury, które jest dane oczom myśliwego widzieć; po co duszę myśliwską odtwarzam? Wszak Wy, co „Łowca Polsk." czytacie, czujecie tak samo, i nie nowina dla Was wraz ze mną te chwile przeżywać. Lecz trudno, użalić się przed Wami, co mnie rozumiecie, muszę, a może znajdziemy wreszcie sposób, by złemu zaradzić.

Pięknie jest u nas, pięknie jest w Alpach, pięknie na całym świecie Bożym, tylko, że wszędzie ludzie są inni.



Ks. Radziwiłł z Antonin:
2 złote tarcze za wieniec jeleni. Medal za łeb dzika.

Należało też przebyć, już pod głuszcem, miejsce odkryte. Zebrałem się do skoku, by odrazu przedostać się pod osłonę następnego drzewa. Tam głuszca zoczyłem, lecz tak był zasłonięty, że z powrotem na inne miejsce odskakiwać musiałem. Wtem pieśń się urwała. Długie chwile, które wiecznością się stawały, stałem zamarły, na tym stoku alpejskim. Już byłem pewien, że wszystko stracone, gdy nagle, dźwięczne klapnięcie każdy nerw mój rozedrgało. Jedno... drugie... trzecie... i pieśń znów popłynęła. Dwoma posunięciami przylgnąłem do niebotycznego świerka, a przedemną w kurzawie mglistej, na łapie świerkowej rozsadzony, widoczny, jak na dłoni, król ptaków, potrząsając piórzastą brodą pod dziobem, w przestworzu wzniesionym, stał ponad wierzchołki, u stóp naszych się ścielące, pieśń swą czarowną, wiosenną pieśń kniei.

Strzału nie zwlekałem, a gdy ptak ciężko osunął się z drzewa, ja i mój „Jäger" w wielkich susach staczaliśmy się kilkanaście kroków po urwistem zboczu ku naszej zdobyczy.

Taka sama jest istota łowiectwa w Polsce, jak i w Austrji, tylko że u nas, patrzą na myśliwego, jak na dziwaka, lub lekkoducha, co bąki zbija, a tu „ein Jäger" jest osobą, którą się szanuje. U nas to „pańska zabawka"; tutaj to poważny przemysł i źródło dochodu dla poszczególnych jednostek i dla Państwa.

Łowiectwo hartuje duszę i ciało, łowiectwo to spuścizna z czasów rycerzy. Tradycje łowieckie jakże są wzniosłe, i sam fakt utrzymywania pewnego rytuału, jak każda religja, ducha wznosi ku czemuś wyższemu, i każe się przytrzymywać pewnych praw, bez których powstaje anarchja. My Polacy to bezwiednie czujemy, bo czemuż wystawy łowieckie są chętnie zwiedzane przez szeroką publiczność, czemu łowiectwo pociąga nawet tych, których tak mało obchodzi? W łowiectwie jest coś, jest jakaś siła ukryta, jakiś magnes, który pociąga.

Podświadomie czuje to wielu, lecz ten instynkt tak zdrowy, drzemie i jest w Polsce zaniedbany. Ostatni-

mi czasy widać w społeczeństwie pewne zainteresowanie się łowiectwem.

Pisma codzienne od czasu do czasu przebąkują coś o Białowieży, sprowadza się żubry, pisze się o nich. Od czasu do czasu widać wzmiankę o jakiemś polowaniu reprezentacyjnem, na którem padło 2 dziki i 27 zajęcy!

Otóż mnie się zdaje, że zbliża się pora, byśmy, my, myśliwi, zbudzili społeczeństwo polskie z tego letargu.

Należy sferom miarodajnym otworzyć oczy, jakie miejsce winno zająć łowiectwo w Polsce. Należy przypomnieć, jak wyglądały knieje reprezentacyjne podczas rządów zaborczych; należy wyjaśnić, jakimi terenami i jakiemi możliwościami rozporządza nasza ojczyzna; jakie są bolączki, które nie dają należycie łowiectwu się rozwinąć. Spójrzmy na niemców; wszak temu narodowi braku praktyczności zarzucić nie można; mają przecie gorsze od naszych tereny, a jakże większe od nas, z łowiectwa dochody. Gydby w Polsce łowiectwo było postawione należycie, ileż utworzyłoby dochodów pobocznych, zabierać. Chciałbym jednak myśl rzuconą, szerzej rozwinąć i potraktować ogólnie.

Faktem jest, że nikt inny, tylko my Polacy, dopuściliśmy do ostatecznej zagłady żubrów w Puszczy Białowiejskiej. Nie pomogło nadzwyczajne, walne zebranie Polskiego Tow. Łowieckiego, o którem pisze p. Knothe; nie pomogła interwencja prezesa Lilpopa u ówczesnego ministra Rolnictwa, p. Janickiego, który odmówił przyjęcia zebranych i asygnowanych na ochronę żubra 20.000.000 Mk. Pol., twierdząc, iż koszty te winien ponieść rząd. Min. Janicki wkrótce ustąpił, a minister Poniatowski, który po nim objął tekę Min. Rol., do sprawy tej widocznie nie przywiązywał zbytniej wagi — i żubry ostatecznie wytępiono.

Dziś Niemcy posiadają najwięcej żubrów w Europie, a Polska kupuje od nich poszczególne sztuki za drogie pieniądze. Smutne jest, a jednak prawdziwe, że gdyby niemcy nie byli ustąpili z Białowieży, żubry tam byłyby do dziś dnia, i stanowiłyby wielkie bo-



W środku „Tygrys" hr. Józefa Potockiego — złota tarcza
Niedźwiedzie Polsk. T. Łow. i d-ra St. Zaborowskiego.

jak np. turystyka, korzyści propagandowe. Na to wszystko winno się oczy otworzyć komu należy. Pozatem musimy zacząć wprowadzać kulturę łowiecką wśród mas szerokich.

Do pracy, bracia myśliwi, niech każdy swoją myśl na łamach „Łowca Polsk." rzuci, a Ci, co składniej piórem władać potrafią, niech się nie ograniczają do mile czytanych przez nas samych opisów w „Łowcu Polsk.", lecz niech wypłyną na szersze wody i niech w prasie codziennej rozpoczną myśliwską kampanję. Może pomału z tych słów zrodzi się czyn!

Czytałem z prawdziwem zainteresowaniem artykuł p. Knothego, w Nr. 15 „Łowca Polsk." zamieszczony; z zainteresowaniem i z radością, gdyż usłyszałem w nim głos wybitnego i znanego myśliwego, który nareszcie poruszył sprawę zasadniczą, iż należy coś zdziałać, by rozpocząć akcję ratunkową, w tym wypadku, zagrożonego jelenia w Karpatach.

Artykuł ten, niestety, przebrzmiał bez echa. Nie wchodzę tutaj w szczegóły sprawy. Nie znając zupełnie terenów i stosunków karpackich, nie mogę w zagadnieniu poruszonem przez p. Knothego, głosu gactwo kraju, jako jedyne w Europie w dzikim stanie żyjące.

Żeby wówczas sfery stojące u władzy, w tem się zorjentowały, bogactwo to dziś do Polski by należało.

Dziś zagrożony poważnie jest łoś, i to mam wrażenie, o wiele poważniej od karpackiego jelenia, o którym wspomina p. Knothe. Łosie nasze bodaj że na sztuki dziś w Polsce liczymy.

Pozwolę sobie twierdzić stanowczo, że i w tym wypadku nie pomogą żadne zebrania, uchwały, odezwy, ani towarzystwo ochrony poszczególnego zwierza, jak i nie pomogły wówczas dobre chęci poszczególnych jednostek żubrowi.

Mamy Centralny Związek Polsk. Stowarzyszeń Łowieckich. Prezydjum tegoż Związku przedstawia wobec Rządu społeczeństwo łowieckie, i jako z takiem Rząd winien się liczyć. Obowiązkiem prezydjum jest domaganie się u władz egzekutywy ustanowionych praw. Pan Knothe pisze w swym artykule, że żubr zginął przez to, że „wszelkie przepisy i groźby kar pozostały jedynie na papierze".

Nie wolno nam dopuścić, by kiedyś to samo można było napisać o łosiu, lub o jeleniu. A grozi nam to niechybnie, jeżeli rząd, nie zdając sobie wyraźnie sprawy z sytuacji obecnej, nie zreorganizuje, że tak powiem, „administracji łowieckiej", która winna się składać z fachowców mających możność pełnej egzekutywy. Do tego powinniśmy dążyć wszelkimi sposobami, tego powinniśmy wszelkiemi siłami u rządu się domagać.

Jakże często dziś spotykamy całe połacie kraju, gdzie prawo łowieckie istnieje jedynie na papierze; inne, gdzie jest całkiem mylnie interpretowane, lub stosowane tylko w wypadkach, gdy godzi w myśliwego lub hodowcę; ileż mamy zarządzeń administracyjnych w intencji dobrych, lecz nie celowych, a ileż rozporządzeń łatwych do wprowadzenia w życie a dla sprawy łowieckiej nader potrzebnych, się nie wydaje.

Tam, gdzie z temi bolączkami się spotykamy, władza lub egzekutywa spoczywa w rękach niefachowca, a jasną jest rzeczą, że w takich wypadkach głos doradczy delegata, myśliwego — fachowca jest głosem wołającego na puszczy.

„Głos doradczy", „ingerencja", „charakter półurzędowy", to są półśrodki, które tylko w niektórych wypadkach konkretne rezultaty dać mogą, ale żeby w Polsce, gdzie kultura łowiecka prawie nie istnieje, dać należytą ochronę zwierzostanom i doprowadzić łowiectwo do należytego rozwoju i poziomu, Rząd winien oddać administrację łowiectwa w ręce fachowców - myśliwych, i dać im jaknajdalej idące pełnomocnictwa. Należałoby się głębiej zastanowić, jak zreorganizować aparat administracyjny, boć jasnem jest, że dla Polski jedyny referat łowiecki, skrępowany i ściśle zależny od zupełnie niefachowej wyższej instancji, jest niewystarczający dla wprowadzenia w życie racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Jak źle zrozumiana jest w Polsce sprawa gospodarki łowieckiej i jakie korzyści, przez należyte jej postawienie, kraj może osiągnąć, zaświadczyć mogą Ci, którzy pracowali przy organizacji Pawilonu Łowieckiego na Wystawie Powszechnej w Poznaniu. Zasługą niepomierną Wielkopolskiego Związku Myśliwych z jego prezesem pułk. rez. K. Chłapowskim na czele, jest, że dziś Pawilon Łowiecki dopomoże do otwarcia oczu sfer miarodajnych, czem jest łowiectwo w naszej ojczyźnie.

A jednak nie pokazaliśmy połowy tego, na co nas stać, dlatego, że organizatorzy tej imprezy mieli do zwalczenia wprost niewiarogodne trudności, o których powinni mojem zdaniem, poinformować szerszy ogół, by zapobiec w przyszłości podobnie nieuzasadnionemu i lekceważącemu traktowaniu sprawy łowieckiej. Nietylko sfery miarodajne, a łowiecko niefachowe, nie pojmowały doniosłości jaknajwspanialszego urządzenia wystawy łowieckiej. Niestety, w pawilonie stwierdza się brak stoisk znanych w Polsce łowisk, brak eksponatów panów, o których powszechnie wiadomo, że dużo polują.

Pan Knothe słusznie pisze, że każdy prawdziwy myśliwy, każdym celnym strzałem zaciąga dług wobec natury, ja do tego dodam, że ten, kto poluje li tylko dla samego siebie, a nie czuje się wzamian zobowiązanym pracować dla sprawy łowieckiej, nie powinien znaleźć miejsca wśród tych, co zwać się mają prawo Polskimi Myśliwymi.

Ten, któremu polska ziemia daje środki na urządzanie wypraw egzotycznych, winien swemi trofeami uświetniać pokazy łowieckie w kraju; ten, któremu rodzime łowiska uświetniają zbiory, niech nie zapomina, że polowanie nie jest, jak niektórzy twierdzą, jedynie „pańską zabawką", i że niektóre wspaniałe nasze, a wzorowo urządzone tereny i ich właściciele, na pierwszem miejscu winni być rozsadnikami kultury łowieckiej. Kto o tem zapomina, pozostanie wiecznym i niewypłacalnym dłużnikiem Polskiej Kniei i winien być wśród społeczeństwa napiętnowany.

MAURYCY hr. POTOCKI.



Włodzimierz Walery Barański z Żulina:
2 tarcze złote za wieńce jeleni karpackich i szable dzicze.
13 (trzynaście) medali za wieńce, szable, niedźwiedzie, wilki, 2 rysie, parostki i cały zbiór.

PRZESMYK

Niema myśliwego, któremuby to słowo nie było dobrze znanem i któryby nie starał się na polowaniu „stanąć na przesmyku". Niestety, dzisiaj, przy zorganizowanych polowaniach z naganką, gdzie ślepy los decyduje o stanowisku przez ciągnięcie numerów, osobisty udział myśliwego redukuje się do roli strzelca.

Nie tak to „illo tempore" bywało. Dawniej myśliwy musiał poznawać przesmyki. Szczególnie była ważną ta znajomość w polowaniu z ogarami. Ostępy były duże, pomocników mało, psy gnały zwierza, a myśliwy musiał umieć przeciąć mu drogę. Wówczas też przesmyk decydował o powodzeniu. Trzeba było go znaleźć. Ale jak? Co go charakteryzuje? Pan Wł. Korsak mówi w „Roku myśliwego": „Trudno określić w słowach, jak poznać dobre stanowisko, jest to nieuchwytne, a jednak zupełnie jasne dla doświadczonego myśliwego". Jabym powiedział cokolwiek inaczej: określić można to nawet w słowach, nie przyniesie to jednak żadnej korzyści myśliwemu, nieobeznanemu z przyrodą puszcz i lasów oraz z ich mieszkańcami. Dodałbym jeszcze — poznawanie przesmyków jest w znakomitej mierze związane z orjentacyjnym zmysłem, który tylko u ludzi, blisko i często obcujących z przyrodą, nie zaginął zupełnie, lub może, przez to właśnie obcowanie, został w nieświadomości ponownie wzbudzony. W każdym razie w przesmykach orjentować się dobrze może, mojem zdaniem, tylko ten myśliwy, który w lesie nie jest „jak w lesie", w nim nie błądzi i skoro raz jakiś las przejdzie, zawsze z niego wyjść potrafi. Kto tego daru nie posiada, sądzę, iż nigdy żadnego przesmyku poznać samodzielnie nie potrafi.



Nadleśniczy Tadeusz Melzig z Gołąbek:
9 medali za wieńce, parostki i hodowlę:

Zanim jednak przejdę do zanalizowania istoty przesmyku, jeszcze parę słów o tem mojem spostrzeżeniu. Otóż bardzo ciekawem i pouczającem w tym względzie jest rosyjskie polowanie ze pskowiczami. Początkowo, słysząc opowiadania o „tworzonych przez nich cudach", nie chciałem temu wierzyć; nie we właściwy przytem sposób je tłumaczono. Zasiąganie zaś wiadomości od samych pskowiczów również nie prowadziło do celu. Są to prawdziwe dzieci natury, ludzie ciemni, którzy przedewszystkiem sami swoich właściwości nie rozumieją, to też nie są w stanie ani ich zanalizować, ani tembardziej ich wytłómaczyć. Powiedzenie zaś z ich strony, że potrafią wypędzić (wystawić) zwierza tam, gdzie zechcą, co tak imponuje i elektryzuje myśliwych, jest o tyle tylko prawdziwe, o ile miejsce to, dokąd zwierzę ma być skierowane, pskowicze sami oznaczą. W tem też leży sedno sprawy. Właściwie więc nie na umiejętności skierowywania zwierzęcia na pewne, z góry określone, stanowisko myśliwego polega sztuka pskowiczów, a na poznawaniu przesmyków, czyli miejsc, przez które samo zwierzę wybiera drogę swą do ucieczki. W dalszym zaś ciągu polega ta ich umiejętność na tak cichem i powolnem pędzeniu, że zwierzę bardzo mało się wystrasza. Jest to warunek konieczny, gdyż z chwilą zapanowania uczucia strachu nad psychiką zwierzęcia, może być ono pozbawionem normalnej orjentacji i uciekać na oślep, zbaczając ze wskazanej przez zmysł orjentacyjny drogi.

Zauważyć przytem należy, że pskowicze sami nigdy w żadnych lasach nie błądzą, odrazu orjentując się w nich wyśmienicie. Najwidoczniej więc zmysł orjentacyjny u nich nietylko że zupełnie nie zaginął, lecz może co do stopnia swej doskonałości konkurować ze zwierzęcym. I temu też, mojem zdaniem, tylko należy przypisać, że w miejscowościach całkiem dla nich nowych, już po powierzchownem poznajomieniu się z lasami i po jednorazowem obejściu dookoła ostępu, w którym zaległo zwierzę, potrafią odrazu i bez błędu wskazać, kędy takowe zmykać będzie.

Tłómaczenie ich „sztuki" wystawiania zwierza na stanowisko, przez zabieganie mu drogi, straszenie z boków i t. d. jest mylnem. Polując z tymi leśnymi ludźmi w Rosji przed wojną na łosie, wilki i lisy, nigdy tego zauważyć nie mogłem i zawsze odnosiłem wrażenie, że cała ich „mądrość" polega tylko na doskonałem poznawaniu przesmyków.

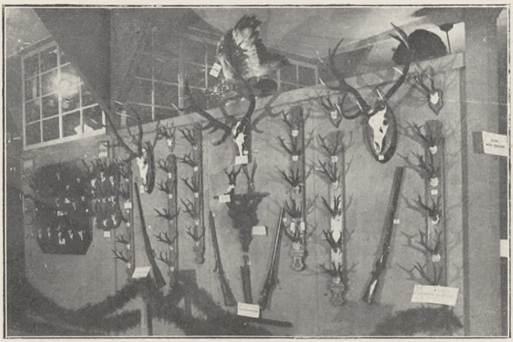
Przechodzę teraz do istoty przesmyku. Wiemy z do-

świadczenia, że są miejsca, przez które przechodzi znakomita większość pędzonych z danych ostępów wilków, lisów i t. d., przez inne znowuż najchętniej przebiegają jelenie, rogacze, zające... i otóż te miejsca, w potocznej mowie myśliwskiej, nazywamy przesmykami. Ponieważ tak częstego przechodzenia zwierząt tymi przesmykami nie można wytłómaczyć prostym zbiegiem okoliczności, muszą być podstawowe stałe przyczyny, które skierowują zwierzęta w te mianowicie miejsca. Mojem zdaniem, składają się na to dwa czynniki: znakomicie rozwinięty u zwierząt zmysł orjentacyjny oraz psychika zaniepokojonego zwierzęcia. Uzasadniać pierwszego, sądzę, że nie mam potrzeby, gdyby bowiem ten zmysł nie istniał u zwierząt, nie byłoby wędrownego ptactwa i żadne z nich nie potrafiłoby wrócić z dalekiej podróży do rodzimego gaju, jeziora, błota..., a już nietylko do własnego gniazda, jak to widzimy u bocianów, czapli, żórawi, drobnego ptactwa i t. d. Nie moglibyśmy również korzystać z pocztowych gołębi...

psów wywożonych nietylko końmi, lecz i koleją. Słowem mamy szereg dowodów o istnieniu zmysłu orjentacyjnego również i u zwierząt czworonożnych.

A teraz wniknijmy w psychikę zaniepokojonego lub przestraszonego zwierzęcia. Sądzę, że mało ona będzie się różnić od psychiki ludzkiej w analogicznym wypadku. Wyobraźmy sobie jakieś zamieszanie na ulicy, które w skutkach może zagrażać życiu przechodniów. Co oni w takim wypadku uczynią? Niewątpliwie wszyscy, wedle możności, pośpieszą do swych domów. Taka też jest pierwsza odruchowa czynność na skutek przestrachu i u zwierząt domowych. Spłoszony w polu, samopas włóczący się pies lub kot, zawsze bez namysłu zmyka do domu. To samo czyni nierogacizna i bydło. — Wszystko śpieszy z ucieczką do miejsca swego stałego pobytu, w którem czuje się najbezpieczniej. Zupełnie to samo jest ze zwierzyną, z tą tylko różnicą, że za stałe miejsca pobytu uważa ona własne ostoje lub miejsca lęgu.

Rozpatrzmy w dalszym ciągu drogę obieraną przez



Stanisław hr. Łącki z Posadowa:
2 złote tarcze za wieńce i parostki.
6 medali za myłkusy sarnie, dropia i cały zbiór.

Oczywiście, że zmysł ten w równej mierze jest rozwinięty i u czworonożnych zwierząt; wystarczy trochę tylko obserwacji, by się o tem przekonać.

Badałem kiedyś drogę naszego niedźwiedzia, który został schwytany w guberni Archangielskiej i przywieziony pod Wilno. Otóż zemknąwszy z uwięzi, przechodził on przez szereg lasów różnych majątków. Ponieważ było to w końcu lutego, gdy leżał jeszcze śnieg, na biednego zbiega urządzono szereg polowań i w końcu zabito go o 150 kilometrów od miejsca ucieczki. Połączywszy wówczas linją na mapie lasy, w których widziano ślady niedźwiedzia, a wszelka omyłka była tu wykluczoną, gdyż już wówczas niedźwiedzi w tej części Wileńszczyzny nie było, otrzymałem prostą drogę na Archangielsk — słowem szedł biedny niedźwiadek jak z „kompasem w ręku". Kiedyś nie chcąc zastrzelić kota, który dusił słowiki w parku, a był ulubieńcem naszej ochmistrzyni, wywiozłem go w koszu koleją do Mińska, odległego o 100 kilometrów od Malinowszczyzny i tam wypuściłem na dworcu. Po tygodniu wróciłem do domu, kot zaś już na trzeci dzień był z powrotem na kolanach swej pani. Ogólnie jest też znane powracanie do domu

uciekających. Czy nie będą oni szukali drogi możliwie najkrótszej?

To też każda goniona z miotu zwierzyna, o ile jej stałe ostoje są po za granicami danego ostępu, prawie zawsze podąża najkrótszą do nich drogą, w znalezieniu której zmysł orjentacyjny nigdy jej nie zawodzi. W tym więc kierunku przedewszystkiem powinien myśliwy szukać przesmyku, o ile naturalnie sam potrafi orjentować się w lesie. Pozostają jeszcze do omówienia niebylejakie szczegóły, gdyż przesmyk, aby go należycie móc wykorzystać, musi być bardzo ściśle określony: dla strzału śrutowego ze ścisłością najwyżej do 50 kroków w obie strony, dla kulowego do 80. Tutaj trzeba się już powodować ukształtowaniem terenu i upodobaniami danej zwierzyny, a więc przedewszystkiem znać jej naturę. Wogóle zaś każde zwierzę wybiera zawsze drogę najmniej uciążliwą do przejścia, czyli że możliwie niezabagnioną, niezawaloną gałęźmi i wywrotami, a w zimie pod osłoną większego zwarcia lasu, w którym zawsze mniejszą jest śnieżna pokrywa. Niektóre zaś gatunki, jak ryś, wilk i lis, nie lubią też bez koniecznej potrzeby wylykać się na halizny.

Przez dłuższy czas badając na swych terenach łowieckich nietylko poszczególne przesmyki w różnych ostępach, lecz i całą drogę zmykającej zwierzyny, i wykreślając ją na mapie (dla łosi, dzików, wilków i lisów) otrzymałem nadzwyczaj ciekawy rezultat, graficznie, że tak powiem, stwierdzający zmysł orjentacyjny u zwierząt. Wszystkie te linje bowiem, były to najkrótsze drogi, łączące miejsca spłoszenia zwierzęcia z miejscami, po dojściu do których ono się zatrzymywało. Przyczem te ostatnie były to zawsze albo stałe jego ostoje, albo, w wypadku, gdy był ostoją miot, z którego je pędzono, uroczyska, w których często zwykło przebywać. Na tej najkrótszej drodze, oczywiście każde zwierzę uwzględniało miejscowe właściwości terenu, a więc o ile na prostej linji, łączącej te dwa punkty, leżały ludzkie osiedla, trudne do przebycia bagna lub wody, zwierzę zbaczało, opisując pewien łuk, przyczem zawsze ten łuk był możliwie najmniejszy, stanowiąc styczną z pomienionemi przeszkodami. Dla braku miejsca i technicznych trudności nie umieszczam tej mapy, chociaż byłoby to może ciekawe.

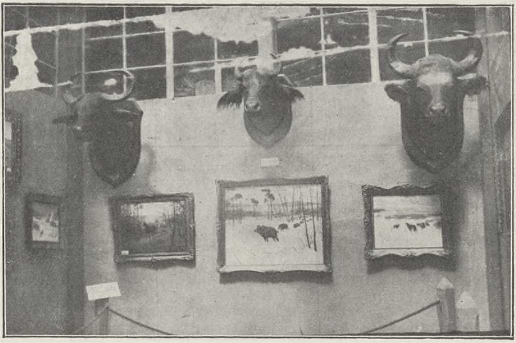
Ten otrzymany przeze mnie wykres w moich rewirach nasunął mi myśl określania przesmyków przy pomocy mapy na innych terenach. To też stosowałem to kilkakrotnie podczas moich przedwojennych wycieczek do północnych gubernij Rosji w stosunku do łosi. Nie wszędzie, niestety, mogłem otrzymać tak ścisłe mapy, udało mi się to tylko w niektórych nadleśnictwach państwowych. W tych wypadkach, zasięgnąwszy możliwie najlepszych wiadomości o głównych ostojach łosi i oznaczywszy je na mapie, starałem się wywnioskować, kędy prowadzi do nich najbliższa droga z różnych dalszych ostępów. I otóż mogę stwierdzić, że parę razy udało się to w zupełności. Najtrudniej było wywnioskować coś o przesmyku w dużych, jednolitych, leśnych kompleksach, ale jeżeli były to mniejsze lasy, w rodzaju naszych, poprzerzynane większemi polami, łąkami, wodami — z bardzo wielkiem przybliżeniem przesmyki określałem, robiąc na miejscu jeszcze korektę zgodnie z właściwościami terenu i naturą łosia.

Bardzo często dobrym wskaźnikiem przesmyku (szczególnie u wilków) jest wchodowy trop zwierza do miotu, oczywiście o ile nie prowadzi z nocnej wędrówki za żerem, ale też zauważyć należy, że w większości wypadków stanowi ten właśnie trop najkrótszą drogę do ostoi zwierza.

Wogóle bym powiedział, że chcąc przewidzieć, co w jakim wypadku uczyni zwierzę, nie trzeba przedewszystkiem tak bardzo posądzać o głupotę. Przez długi czas obserwując zwierzynę w różnych fazach jej życia, co, mówiąc nawiasem, sprawiało mi często większą przyjemność, niż sam proces polowania, doszedłem do przekonania, że zwierzęta są bez porównania mądrzejsze, niż to nam się wydaje. Posiadają przytem obce nam zmysły, czy też bezwiedne właściwości. Pomijając już zmysł orjentacyjny, mają wyczucie czasu; ze ścisłością, jeżeli nie absolutną, to w każdym razie co do minuty, jak to wielokrotnie sprawdziłem z zegarkiem w ręku, przeczuwają pogodę nawet na okres kilku dni, a nie można zaręczyć, czy nie posiadają jeszcze i innych nieznanych nam właściwości, dla wykrycia których byłyby potrzebne długie i ścisłe badania.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

Malinowszczyzna.



Łby bawole i obrazy.

PAN IGNACY DORFSGAJER.

Polowanie jest miłą, zdrową i rycerską rzeczą.
Co do ostatniej właściwości możnaby mieć pewne zastrzeżenia. Bo i cóż ma tu rycerstwo?

Dawniej był rycerz Kuno, miał zamek i łupił przejezdnych ze skóry, zaś wybierając się na turniej, włazil poprostu, jak w zbroję, w swe odświętne cnoty, opisywane bezwstydnie przez trubadurów i innych łazików.

A dzisiaj?

Dzisiaj jest łajdak Kunicki, ma trzeciorzędną knajpę na przedmieściu i łupi gości również, siedząc w wolnych chwilach w kryminale.

Areną jego jest sala sądowa, a trubadurem — prokurator.

Czasy się zmieniają i unoszą nas coraz dalej od wszelkich tradycyj, jednak w czynnościach,

związanych z łowiectwem, widzimy je chętnie i pragnęlibyśmy widzieć zawsze.

Płeć piękna również czuje pociąg nietylko do łowców młodych i rycerskich (z wyjątkiem może łowców posagowych), ale i do samego łowiectwa.

Potrafiła ona nawet z biegiem lat niektóre pokrewne działy tegoż zaanektować i wykształcić w swoją odrębną specjalność, że wymienię tu polowanie na pchły i na męża (na zasiadkę, w kotła, z naganką i w ostateczności... na pomyka).

Wogóle wszelkie nacje oddają się myślistwu z mniejszem lub większem zamiłowaniem... prócz naszych żydków. Stądby można wysnuć prosty wniosek, że polowanie naogół nie jest dobrym interesem.

Bo i pomyślmy tylko: trudy, przeważnie niewspółmierne z efektem, nieprzyjemny huk, ryzyko zdrowia i nawet życia, częste obcowanie z tak przykrem stworzeniem, jak sam pies — jednem słowem, nie lubią tego i basta!

Stosunek ich przeto do łowiectwa jest luźny, pośredni i o czysto anegdotycznem zabarwieniu, zaś ich zapatrywania?

tem sytuację polityczną i podjął się był dostawy spożywczych produktów dla obu poważnionych armij.

I oto w jednym dniu — wskutek jakiegoś nieporozumienia — wziął 50 nahajek od kozackiego esauła i 25 polskich batów, t. zw. „bykowców" od ruchomego oddziałku powstańców.

Takie rzeczy, występujące w dodatku bezpośrednio po sobie, trzeba przyznać — mogą zniechęcić do operacyj handlowych.

Kupił więc folwark o pięknie brzmiącej, słowiańskiej nazwie „Radohoszcze" i jął się gospodarki.

Ojcu p. Ignacego, również Ignacemu, niedawno się zmarło.

Wielka wojna okazała się wprawdzie dość wyrozumiałą dla rodziny Dorfsgajerów i przysporzyła jej majątku znacznie — jednak obfitowała jednocześnie w taką ilość wzruszeń i nieprzyjemności, że końby nie wytrzymał, a cóż dopiero dwunożna o delikatnem zdrowiu istota.

Niemiłosierna śruba podatkowa dopełniła reszty.



Eberhardt Lehman-Nitsche z Iłowicz
Złota tarcza za kolekcje zrzutów.
Medal za hodowlę.

Pamiętam wiejskiego pachciarza Szmula, który, ilekroć spotykał mię zmordowanego i z pustą siatką, uśmiechał się z delikatną, rasową ironją i gładząc brodę, mawiał:

— Nu... pan dobrodziej znowu nic nie złapał!

Mimo to zdarzają się cenne wyjątki, i o takim właśnie w postaci p. Ignacego Dorfsgajera chcę parę słów opowiedzieć.

Ród to był stary, osiadły, arystokratyczny.

Pochodził p. Ignacy z tych właśnie Dorfsgajerów, którzy, jak fama niesie, zrobili jeden z lepszych interesów na dostawie kaloszy przy przejściu żydków przez morze Czerwone.

Jeszcze dziadek p. Ignacego, błog. pam. Izydor, nabrał pod koniec żywota zamiłowania do trudów Cyncynnata, zgoła zaniedbując wszelkie czysto handlowe procedery.

Miał on jakoby pewną przykrą nad wyraz „okoliczność" w powstaniu 63 r., w którem brał udział... Ogarnął mianowicie w zlot z właściwym sobie talen-

P. Ignacy senior wybrał się w tej sprawie do prezesa ministrów z całym zasobem logicznej argumentacji.

Nim zdążył ją wypowiedzieć — prezes krótko zapytał:

— Coś pan miał przed wojną?

— Jednego folwarku.

— A dzisiaj?

— Folwarki... trzy, gorzelnię, młyn i tartak

— I — ciągnął prezes, bystro wpatrując się w złote okulary pana Ignacego seniora.

— I jedne kamenice w Katowice...

— To i teraz będziesz pan miał „jednego folwarku" — uśmiechnął się prezes. — Żegnam!

Petent wrócił zbolały do domu, położył się, myślał, myślał i... umarł.

Ostatnie jego słowa były:

— Nu... co to jest?

Tak tedy p. Ignacy pochodził z czysto ziemiańskiej rodziny i mógł śmiało powiedzieć w re-

sursie przy kotlecie wieprzowym do swego sąsiada Bobkiewicza, który jadł śledzia i delikatnie kołując odnośnie pożyczki, opowiadał o blizkiem wywłaszczeniu i upadku wielkich rodów:

— Chcą nas wywłaszczyć z ziemi? — z tej ziemi, co to ją jeszcze mój dziadzio potrzebował deptać — co?

— I nazwisko szanownego sąsiada jest ziemiańskie — zaryzykował usłużny sąsiad, który liznął w swoim czasie nieco niemczyzny.

— Nazwisko? Ja panu powiem, że jak byłem mały i bawiłem się z kuzynami — jak to pan wie — w indjan, to jeden się nazywał „farbowany lis", drugi tam „latająca warga", albo coś takiego, a ja byłem sobie „wiejski sęp" — Co? he, he, he, he!

Osoba p. Ignacego nie nasuwała bynajmniej żadnych fantazyjnych myśli: był to człowiek niskiego wzrostu, w miarę otyły, czterdziestoletni i powolnych ruchów.

Gospodarką kierował przeważnie z rezydencji miejskiej, dbał wogóle o zdrowie i prawdopodobnie wskutek tego się nie żenił.

Chodził stale w jegerach i żył w ścisłym kontakcie z barometrem.

Gdy spotykało się go w kaloszach, gumowym płaszczu i z parasolem w ręku, to deszcz wisiał w powietrzu niechybnie.

W każdą sobotę wieczorkiem uczęszczał do resursy, gdzie z całą powagą grywał w taniego preferansa, zjadał kolację, wypijał kieliszek likieru i szedł spać, świecąc po drodze elektryczną latarką, jak świętojański robaczek.

Minę miał tego rodzaju, jakby chciał lada chwila kichnąć — obcy gość mimowoli się odsuwał i bacznie go obserwując, myślał: — kiedyż on u djabła, nareszcie kichnie?

Mówił wolno, starannie, nie roniąc cennych słów po próżnicy. To już było rodzinne, jak i takt, że organem mowy wszystkich Dorfsgajerów był — nos.

Chcąc podkreślić po rozegranej partyjce preferansa swe udatne wyjście, mawiał stale: — ale mam „węcha" — co?

Raz pewien wojskowy, który grał contra, dłuższą chwilę patrzył na nos p. Ignacego i bąknął:

— No... wierzę, że węch posiada pan niebylejaki...

No i... podobno p. Ignacy polował. Zainteresowałem się tą kwestją poważnie i zacząłem badać ją bliżej.

Jedni odpowiadali:

— A... on ma duże lasy i słyszałem, że urządza polowania...

Drudzy się dziwili:

— Co? Dorfsgajer?... a zresztą możliwe... słyszałem, że strzelbę ma.

Wreszcie znalazłem piewcę na tak wdzięczny temat w osobie niejakiego Ferdka X, eksporucznika ułanów, zabijakę, karciarza, knajpiarza, koniarza i kiniarza, psiarza i myśliwego, słynnego z faktu, że rokrocznie zmieniał dzierżawki, redukując obszar o sto hektarów — w myśl zasady: — mniejsza, ale lepsza!

W swoim czasie starał się o rękę bogatej jedynaczki i nie mogąc się doczekać zgody lub śmierci rodziców, zadowolnił się jej panną służącą, którą porwał według wszelkich formalności, dziś już nawet przez epos zapomnianych.

— Mniejsza — ale lepsza!

Niepodobna mi odtworzyć owej barwności stylu, jaką się odznaczał kochany eksporucznik (z armji Denikina), tembardziej, gdy był w stanie normalnym, czyli pod dobrą datą.

Postaram się jedynie o objektywne podanie faktów sprawdzonych i autentycznych, bo i zełgać Ferdkowi było tak łatwo, jak wypić szklankę wódki i najdokładniej przy regulowaniu rachunku o tem zapomnieć.

. . . .

. . . .

Co to za postać, podpierając się laską, brnie przez zaspy śniegowe, kicha, stęka, potyka się, koziołkuje lub poprostu zjeżdża na plecach ze wzgórków?

To pan Ignacy. Za nim podąża stary gajowy ze stołkiem i strzelbą.

— To tutaj, Wojciechu?

— Tutaj, panie dziedzicu!.. niech se ta pan dziedzic siedną pod tym chojarem.

Pan Ignacy w kożuszku, futrzanych butach i czapce z klapkami odsapnął i usiadł na stołku.

Miał ochotę porozmawiać. Był wiatr, polatywał śnieg i drzewa niemile huczały gdzieś w swych wyniosłych szczytach.

— Czekajcieno.. a panu staroście daliście dobre... te... miejsce?

— Stanowisko jaknajpirwsze... nad deberką! Lisiura to zawsze nią przesmyknie, dzik różnie, a zając to smyrgnie pod górkę!

— To tu są dziki?

— Ho, ho! jeszcze jakie... tak roku na hucie, gdzie sama buczyna, tom raz ich narachował ze dwadzieścia. Jak woły!

Pan Ignacy poczuł dwojaką chęć do rozmowy.

— Jak woły, powiadacie?

— Żebym tak zdrów był! i to się nie boją, nie ustąpią z drogi — musiałem obchodzić...

— O! już się naganka rucha... trza mi iść!

Panu Ignacemu wiatr dął od lasu prosto w twarz. Było to nieprzyjemne. Ustawił stołek pod jałowcem w dołku, odwrócił się do lasu tyłem, postawił kołnierz, strzelbę położył na kolana i zapadł w zadumę. Myślał sobie różnie: trochę o tych dzikach, trochę o cenach drzewa, o katarze, o cioci Fajdze, która znów zjechała mu niespodziewanie na kark. Po chwili wyjął chustkę i drgnął nerwowo.

— Bah! Bah!... — ozwały się dalekie strzały.

— I to polowanie jeszcze. Naco to? — mruknął.

— Bah! — ozwało się bliżej.

Raptem... stała się rzecz straszna... tem straszniejsza, że absolutnie nagła i niespodziewana.

Jakieś „coś" z tyłu piorunem poderwało p. Ignacego do góry, wzniosło ze stołka na moment, wtłoczyło brutalnie nosem w śnieg, pociągnęło raz i drugi i zaczęło szarpać, deptać, tłuc, miażdżyć!

— Gewałt! Oj! Oj! Wojcie...! — wrzasnął nieswoim głosem, dławiąc się śniegiem, p. Ignacy.

Jeszcze jedno szarpnięcie... i coś wionęło nad nim w szalonym pędzie. Burza przeszła.

Pan Ignacy przeczekał dłuższą chwilę i ostrożnie podniósł głowę. Nic — cisza.

— Na pomoc! — wrzasnął po raz drugi.

Nadbiegli myśliwi, podźwignęli pana Ignacego z zaspy, otrzepali ze śniegu, zasypali pytaniami.

Ale pan Ignacy nie mógł udzielić żadnych informacyj.

— Co było? Niech to djabli wezmą! Bo ja wiem, co to było?

Dopiero stary Wojciech wyjaśnił sprawę.

— Proszę łaski panów, tera wim wszystko! Z lasu wypadł kozioł — toż są tropy — a że pan dziedzic siedzieli w dołku za jałowcem, więc jak ten skoczył, to akurat wbił przednie badyle za pasek z tyłu kożuszka. O! oderwany na czysto! Zamotał się, szarpał, tłukł — aż się wyrwał i poszedł! O! jak sadził! To cholera, nie kozioł, — dodał z chytrym półuśmiechem.

Myśliwi zapili sprawę i polowali dalej, ale gospodarz wrócił do domu i położył się do łóżka. Sil-

ne dreszcze, gorączka i niespokojne sny prześladowały go długo.

. . . .

Jesienny, cichy wieczór. Srebrne nici babiego lata, niby szlaki tęsknoty, spowiły wystygłą pierś ziemi. W ogrodzie uwijają się wśród drzew sikorki, poświstując melancholijnie; złote i krwawe liście spływają ku ziemi wolno, wolno... Od wsi i pól idą zapachy dymu, zwiędłych ziół, konopi; dobiegają głuche stukoty cepów i międlic, to znów jękliwy głos psa, goniącego zająca...

Pan Ignacy siedzi przy otwartem oknie, myśli, nudzi się i obojętnie patrzy w ogród. Sprowadziły go na wieś kopanie kartofli, buraków, spóźnione siewy i sprawa omłotów. Turkot kilku bryczek wyrwał go z zadumy.

— Znów coś takiego — pomyślał z prawdziwem obrzydzeniem.

Weszła służąca.

— Jakieś panowie przyjechali — zaanonsowała.

— Naco?

— Bo ja wim... pewnie na polowanie, bo ze strzylbami!

— Mówiłaś, że jestem w domu?

— A ino!

Pan Ignacy machnął ręką z determinacją, jednak powstał i ruszył ociężale na spotkanie, mrucząc:

— A niech ich wszyscy djabli... Tu urwał, bo goście stali już w pokoju... i zawołał gościnnie:

— Proszę, proszę! Dobrzeście zrobili, żeście przyjechali — takie nudy...

Powiatowi dygnitarze pili, jedli, bawili się, a rano prosto od stolików karcianych — do lasu.

Ale niech opowiada p. Ferdek:

— Ignac stał już obok mnie, po lewej ręce. Zające szły, jak owce. Biję jednego, drugiego, trzeciego, biję...

— Dosyć! — wtrąciłem.

— Jak Boga kocham!... nareszcie patrzę: wali kot prosto na Ignaca! Przyszedł na dziesięć kroków i siadł.

Ten wybałuszył gały i patrzy.

— Pilnuj! — krzyczę.

— Nu! zaraz... — powiada.

Zaraz — to zaraz... ale mój Ignac zaczyna się kręcić, chrząkać, majstrować coś koło strzelby, mówię panu, zupełnie, jakby chciał kota odpędzić.

W końcu przykucnął, a zając stanął słupka i patrzy, co z tego będzie... boki zrywać!... Mierzy, mierzy... schowałem się za buka, bo wolę zginąć z ręki katolika... ale ten znów odjął strzelbę i zagląda, i wodzi nosem po niej.

I co pan powie? Zając odwraca się tyłem i siedzi.

Ignac zaczyna dokoła kota tańczyć... i zając też... No mówię panu, ryczałem na całe gardło!

Nareszcie Ignac wyjmuje chustkę i wyciera nos... Zając obejrzał się, najwyraźniej ziewnął i pokicał na referenta. Dostał w łeb i leży!

A ten przychodzi do mnie i pyta, dlaczego nie zabiłem tego zająca, bo on z grzeczności nie chciał strzelać i prócz tego ma stare naboje, a słyszał, że takie bardzo rwią..."

Myśliwi byli krotofilni, pokpiwali z gospodarza po przyjacielsku — zajęcy było sporo... i tak zeszło do wieczora. Ostatni miot w młodnikach.

Pan Ignacy, sfatygowany nieco, usiadł sobie w zagajniku na stoku wzgórza i czekał końca tej zabawy. Raptem uczuł coś ciężkiego na głowie (miał on płaską, skórzaną czapkę angielską). Odniósł wrażenie, jakby ktoś znagła położył na niej ciężką rękę.

Kombinując, że to któryś z wesołych myśliwych podkradł się z tyłu, p. Ignacy zwolna odwrócił głowę i mruknął:

— Dajcie pokój!

A tu z czapki szus! zając i poszedł w krzaki! Pan Ignacy zbladł, obejrzał się dokoła, zdjął angielską czapkę, popatrzył i wyrzekł:

— Nu, nu!

Do późnej nocy myśliwi przy kolejce roztrząsali, kto więcej najadł się strachu: czy p. Ignacy, czy zając?

. . . .
. . . .

Najtrudniej było namówić p. Ignacego na kaczki! Nie cierpiał żywiołowo wody, czółen, wysokich, tajemniczych trzcin i bagien.

Czego jednak nie dokaże kompanja? Jakoś udało się wyprowadzić naszego Nemroda w kaloszach na suche łąki. Usadowiono go nad rzeczką tuż za wsią, uspokojono należycie i pokazano przesmyk, którędy miały przepływać młode kaczki.

Więc pan Ignacy siedział sobie na słońcu, słuchał odgłosów kijanek i patrzył na smugę.

Patrzy... i własnym oczom nie wierzy! Gromadka kaczek wypłynęła z tataraku i najspokojniej żeruje, pokwakując. Siedem sztuk! jedna pstra i sześć szarych... są widocznie różne odmiany!

Wziął broń do ręki, przeczekał dłuższą chwilę, czy nie da się uniknąć awantury, włożył dwa naboje, wymierzył, zamknął prawe oko, później lewe, zlekka odchylił głowę na bok i, pociągnąwszy oba cyngle jednocześnie, palnął. Taki huk! Nigdy czegoś podobnego pan Ignacy zbliska nie słyszał, a przytem, jak ta strzelba kopie... może coś złamała, może spuchnie?

A rezultat? Trzy kaczki tłukły się na wodzie w przedśmiertnej agonji, a reszta kwakała wystraszona w trzcinach.

Zdumienie ogarnęło pana Ignacego na widok tak obfitego łupu.

— Acha! — mruknął do siebie.

Po bohatersku wyrzucił dymiące gilzy, włożył dla pewności tylko jeden nabój i postanowił polować dalej.

Aliści z poza wiklin, rosnących na przeciwnym brzegu rzeczki, wychyliła się przedewszystkiem czerwona chustka, później także twarz... a wreszcie cała baba.

— To tak? — zaryczała, świdrując pana Ignacego strasznem spojrzeniem, — to mi kaczki strzylacie, myśliwce, psiamać!

— A ty, cholero, toś mi krowę trzymał dwa dni za ździebko buraczyny, ażem ci trzy złote krwawicy musiała zapłacić! Kaczki strzylać? A ty, żydowska mordo!

Pan Ignacy poprostu osłupiał.

— Ależ kobieto, ja wam krowy nie zajmowałem, ja...

Nie było jednak czasu na rozmowy — baba najwyraźniej parła naprzód i zakasawszy spódnicę, szukała brodu. Uzbrojenie było nierówne z widoczną przewagą po stronie płci pięknej (kijanka z dębiny), gdy p. Ignacy piastował w dłoni tylko strzelbę, nabitą jedynym nabojem kaczego śrutu.

Nabój ten absolutnie nie wystarczyłby do powstrzymania ataku — nawet gdyby można było pominąć wszelkie względy obyczajowo-prawne co do użycia broni w takich razach. Fakt jest, że był to czas ochrony dla starych bab!

Pan Ignacy narazie cofnął się pośpiesznie, a później przeszedł w kłusa, krzycząc:

— Czekajcieno! ja zapłacę! Co wy chcecie? Na szczęście ukazał się towarzysz p. Ignacego. opodal bobrujący.

Baba zmieniła taktykę i w lament:

— O moje wy kaczusie kochane! Takem was hodowała! O moje wy! — wyciągała je z wody, zezując na boki.

Później zainkasowała 20 złotych, zabrała pobite kaczki i narzekając na ucisk wszelakiego możnowładztwa, przeprawiła się z powrotem na drugi brzeg rzeczki.

Myśliwym pokazała to i owo na szczęście.

Ale co też może myśliwska żyłka! Pan Ignacy podobno poluje dalej...

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI

O KARMĘ DLA ZWIERZYNY.

W sprawie siewu łubinu zimotrwałego na karmę dla zwierzyny ostrzegam, że szkoda na to pracy i pola, które się zanieczyści bodaj na zawsze, a celu nie osiągnie się zupełnie.

Długoletnie obserwacje wykazały mi, że latem zwierzyna łubinu tego nie jada, bo ma daleko smaczniejsze i delikatniejsze inne rośliny zielne, — a gdy nadejdą jesienne szarugi, to zczerniały od nich łubin kładzie się pokotem, gnije i nic go zimą jeść nie chce. Koszony latem na karmę zimową nie nadaje się, bo grube i soczyste łodygi źle schną i zawsze dostają pleśni, którą zarażają się listki już uschnięte; zresztą z suszeniem jest tyle kłopotu i roboty, że taniej wypadnie kupić gotowej koniczyny. Łubin jednak nadaje się świetnie do utrwalenia zwiewnych piasków i osypisk.

Natomiast proponuję siać żarnowiec wszędzie, gdzie tylko można jako wyśmienitą, zimową karmę. Wyrośnięty żarnowiec, chociaż przycisną śniegi, można pomóc zwierzynie odgrzebać. A gdy już zwierzyna ogryzie surowe łodygi, co bywa w zimy długotrwałe, to zachęconej i nawykłej do miejsca, trzeba zakładać paszę inną.

B. leśniczy i długoletni hodowca

JÓZEF KOPERKIEWICZ.

Szczuczyn, k. Lidy.



WOLNA TRYBUNA.

ZWIERZYNA W LASACH PAŃSTWOWYCH

Ogromna ilość myśliwych żyje w mniemaniu, że najkorzystniejsze dla stanu zwierzyny, a zarazem dla właściciela polowania jest sąsiedztwo z lasami rządowymi. Nie wiem, jak się rzecz ma w innych okolicach, — u nas natomiast, na granicy powiatów Kępińskiego i Wieluńskiego, boleć jedynie nad tem sąsiedztwem można.

Mieszkam na samym krańcu powiatu Kępińskiego — od Wieluńskiego dzieli mnie 100 kroków, a jednak, niewiadomo z jakiej racji, rozporządzenia łowieckie są co roku, tak tu, jak tam, zupełnie odmienne.

Przy dworku moim mam niezbyt duży lasek, w którym z zamiłowaniem i powodzeniem hoduję coraz to więcej bażantów, tak, że go często „bażantarnią" nazywamy. Lasek ten dzieli od równie niewielkiego lasku rządowego jakie 300 metrów łąk. Ponieważ lasek rządowy otoczony jest z dwóch dalszych stron parcelami chłopskiemi, zapewniać nie potrzeba, że zwierzyny w nim dużo niema, a to co jest, to tylko z mojej bażantarni przychodzi.

Otóż pragnę teraz panów myśliwych zaznajomić w jaki sposób ochrania się zwierzynę w lasach państwowych (o wycięciu w lasach z rozkazów rządu w jednym roku nowych duktów albo — linji z szerokości 6 metrów, a ogółem długości 240 kilku kilometrów opowiem kiedyindziej); nazywa się to ochrona lasów. Najpierw w końcu października 1928 r. p. nadleśniczy tamtejszy (nazwiska jego nie znam; wiem, że mieszka w Rysiu pow. Wieluński), urządził polowanie leśne w Chruścinie (domenie), na które zaprosił różnych swoich znajomych, do czego, przypuszczam miał zupełne prawo, ale którym pozwolił strzelać... kury bażancie, rzekomo dlatego, że lasy sąsiadują z owej strony z Niemcami!!! Niedość na tem.

Wiedzieliśmy wszyscy, jak sroga dla zwierzyny będzie zima 1928-29. Do jakiego stopnia wyniszczy ją jednak, nikt oczywiście przewidzieć nie mógł. W Poznańskiem pozwolono strzelać zające do 1-go stycznia 1929 r., i słusznie, a o 100 metrów odemnie pozwolono je „tępić" do 1 lutego.

Z tego prawa wystrzelania doszczętnego szaraków skorzystał skwapliwie p. nadleśniczy z Rysia i 26.I., powtarzam, 26 stycznia, urządził drugie polowanie, na którem już co prawda, do kur bażancich nie strzelano, ale zajączki do reszty wybijano! Podziwiać rzeczywiście należy sposób szanowania zwierzyny w lasach państwowych!

M. F. S.



Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow.

Z protokułu Wydziału Wykonawczego w dn. 23.V.29.

Obecni na posiedzeniu pp. W. Szperling — przewodniczący, W. Garczyński, K. Tołłoczko, B. Gędziorowski, Wł. Słonczyński, Cz. Lisowski, H. Knothe, J. Sumowski i J. Bokiewicz.

Nieobecność usprawiedliwili pp. St. Lilpop i L. Skulski.

Sprawę Gminnego Kółka Łowieckiego w Krypnie postanowiono odłożyć do najbliższego posiedzenia, przed którego terminem memorjał tego Kółka rozpatrzą poszczególni członkowie Wydziału i zgłoszą swe wnioski w tej sprawie.

Na wniosek delegata powiatowego, p. Niedźwieckiego, Wydział postanowił rozesłać okazowy numer „Łowca Polskiego" wszystkim starostom Rzplitej dla zainteresowania ich sprawami łowieckiemi.

Zatwierdzono i postanowiono ogłosić jednorazowo w „Łowcu Polskim" kandydatury na delegatów powiatowych, przedstawionych przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, na teren województwa krakowskiego.

Przyjęto i postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydatury na delegatów powiatowych w województwie pomorskiem, zgłoszonych przez Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu.

P. Knothe przedłożył Wydziałowi list Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w sprawie terminów ochronnych. Postanowiono odpowiedzieć Małopolskiemu Towarzystwu, że terminy rozszerzające ochronę są każdorazowo ogłaszane w „Łowcu Polskim". Na terenie województwa warszawskiego Wydział zbiera dane przez swych delegatów powiatowych, poczem wystąpi z wnioskami do p. wojewody.

Na wniosek dyrektora Instytutu Łowiectwa, p. inż. Kamockiego, Wydział Wykonawczy, postanowił wyznaczyć sumę zł. 300 na fundusz stypendjalny na utrzymanie i wyszkolenie jednego strzelca - tresera w szkole łowieckiej, która ma być prowadzona przez Instytut.

Przychylając się do prośby Koła studentów Dublańczyków Politechniki Lwowskiej, Wydział postanowił posyłać gratisowo numer „Łowca Polskiego" dla ich bibljoteki.

Wniosek p. mec. Garczyńskiego, dotyczący wydrukowania w „Łowcu Polskim", a następnie w odbitce książkowej, pracy p. Jerzego Odrowąża-Pieniążka, Wydział postanowił przekazać Redakcji z opinją przychylną.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszone zostały następujące kandydatury na delegatów powiatowych Centralnego Związku:

Mikołaj Riza-Tarnawiot, adwokat, Wilno, 3-go Maja 9, na miasto Wilno i powiat Wileńsko-Trocki.

Michał Borowski, Wilno Teatralna 5,
Stanisław Piotrowski, sędzia grodzki w Rakowie,
obaj na pow. Mołodeczno,

Witold Kwinto, maj. Staciuny, poczta Turmonty,
Władysław Fiedorowicz, maj. Hrycewicze, poczta Druja,

Leon Januszkiewicz, insp. samorz. Brasław,
Bolesław Rawicz, wójt gminy Widze, p. Widze
wszyscy czterej na pow. Brasławski,

Włodzimierz Puchawko, nadl. lasów państw. w Podbrodziu,

Stefan Jankowski, nadl. lasów państw. w Nowo-Święcianach,

Ryszard Kuźmiński, sędzia w Łyntupach,
Jan Szejko, ziemianin, maj. Mejłany — w gminie Dukszty,

Aleksander Abramowicz, ziemianin, Bałtaniszki, gm. Daugielska,
wszyscy pięciu na pow. Święciański.

Józef Kiersnowski, p. Hołubicze, na pow. Dziśnieński,

Stefan bar. Ike-Dunikowski, maj. i poczta Duninów, na powiat Gostyniński,

Por. Stefan Kryński, łowczy Rezydencji Prezydenta Rzplitej w Spale, na powiaty Rawski i Opoczyński,

Feliks Popławski, Łowicz na pow. Łowicki,

Tadeusz Krzymuski, Dąbroszyn, p. Rychwał, na pow. Koniński,

Stefan Różycki, ziemianin, Wlesk, p. Lidzbark,
Zygmunt Karwat, ziemianin, Wichulec,
obaj na pow. Brodnica,

Ślaski Jan, ziemianin, Trzebczyk Szlachecki, p. Trzebcz, na pow. Chełmno,

Alojzy Pruszak, Krojanty, p. Chojnice,
Dr. Tadeusz Drozdowski, prokurator, Chojnice,
obaj na pow. Chojnice,

Włodzimierz Pankowski, ziemianin, Szczupliny, p. Gralewo,
Tadeusz Götzendorf-Grabowski, ziem., Kramarzewo, p. Działdowski,
obaj na pow. Działdowski,

Zenon Łubieński, ziemianin, Spęgawa, p. Tczew, Gniew,
obaj na pow. Gniew i Tczew,

Czesław Rabbe, ziemianin, Piaseczno Pom., p.
Tadeusz Wyganowski, ziemianin, Gołębiewko, p. Boguszewo, na pow. Grudziądz,

Juljan Esden-Tempski, ziemianin, Sobacz, p. Liniewo,
Franciszek Ochota, insp. budowlany, Kościerzyna.
obaj na pow. Kościerzyna,

Stefan Modzelewski, nadleśny, nadl. Kostkowo, p. Rybno Pom.
Feliks Kawczyński, ziemianin, Linowiec, p. Montowo,
obaj na pow. Lubawski.

Ignacy Wreze, ziemianin, Smolno, p. Zelistrzewo, na pow. Morski,

Tomasz Komierowski. ziemianin. Komierowo, p. Przepałkowo,
Inż. Konstanty Skwarc, nadleśny, nadl. Lutówko.
obaj na pow. Sempolno,

Stefan Karwat, ziemianin, Obozin, p. Godziszewo, na pow. Starogard,

Franciszek Esden-Tempski, ziem., Ostrowiec, p. Iniano,

Jan Kurpiński, nadl. państw., Osie Pom.,
obaj na pow. Świecie,
Jan Głębocki, Bierzgłowo, p. Lubianka, na pow. Toruń,
Jan Górski, ziemianin, Kamienica, p. Gostyczyn.
Bolesław Osiński, nadl. Woziwoda,
obaj na powiat Tuchola,
Jerzy Ślaski, ziemianin, Orłowo, p. Płużnica,
Antoni Tomaszek, nadl., Konstancjewo, p. Golub.
obaj na pow. Wąbrzeźno.
Lista ogłoszona 3-ci raz.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

Łącznie z Pierwszą Polską Powszechną Wystawą Łowiecką, urządza Wielkopolski Związek Myśliwych

„ZIELONY TYDZIEŃ"

zapoczątkowany Zjazdem Delegatów Powiatowych z całej Polski, na który PP. Członków, Delegatów Pow. oraz Sympatyków mamy zaszczyt zaprosić.

Program „Zielonego Tygodnia":

Poniedziałek, dnia 24 czerwca: Godz. 10-ta rano msza św. w kaplicy św. Józefa przy ul. św. Józefa. Godz. 3-cia popoł. Zjazd Delegatów Powiatowych na Białej Sali Bazarowej, połączony z komunikatami Zarządu Centralnego Zw. Pol. Stow. Łow. oraz wykładami. Godz. 9.30 wiecz. „Zielony Bal" na Białej Sali Bazarowej. Strój balowy. Wstęp 10 zł.

Wtorek, dn. 25 czerwca: Godz. 10-ta rano, zwiedzenie wystawy łowieckiej. Zbiórka przed terenami „E" Powszechnej Wystawy Krajowej przy ul. Emilji Sczanieckiej. Godz. 6-ta popoł. wspólny obiad na Białej Sali Bazarowej.

Od środy, dn. 26 do czwartku, dn. 27 czerwca:

KONKURSOWE STRZELANIE MYŚLIWSKIE

na uroczo położonej strzelnicy firmy Specht Nast. przy szosie okrężnej na Malcie pod Poznaniem według następującego programu:

Środa, godz. 9-ta rano: Strzelanie kulowe. Odległość 80 mtr. Do rogacza stojącego, biegnącego, dzika biegnącego, jelenia biegnącego oraz o nagrodę Kniei Wielkopolskiej (dzik biegnący na odległość 60 mtr., ukazujący się jeleń na przeciąg 10 sekund na odległość 170 mtr. i rzutka). Konieczna broń kombinowana (drylíng) lub sztucer i śrutówka.

Czwartek, godz. 9-ta rano: Strzelanie do rzutek (100 sztuk serjami po 10) o mistrzostwo Polski i puhar wędrowny prezesa Związku. Wpisowe do ogólnego strzelania wynosi dla członków stowarzyszeń łowieckich, zrzeszonych w Centr. Zw. Pol. Stow. Łow., 50 zł., dla niezrzeszonych 100 zł.

W celu uzyskania 33% zniżki kolejowej, prosimy na stacji zażądać biletu na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania i z powrotem, bilet jest ważny 15 dni. Bez wykupienia biletu powrotnego, kasy biletowe nie są upoważnione do udzielania żadnych zniżek.

Kwatery uzyskać można przez Miejskie Biuro Kwaterunkowe, Poznań, ul. Marszałka Focha 42.

PP. Delegaci Pow. oraz zamieszkali na terenie ich powiatów Członkowie stowarzyszeń łowieckich przybywający na „Zielony Tydzień", zechcą zgłaszać się pisemnie pod adresem Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Poznań, ul. 27 Grudnia 19.

Prosimy serdecznie i oczekujemy.

Cześć Myśliwym!

ZARZĄD
WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH

Z KÓŁKA ŁOW. „ŁOŚ".

W dniu 27 maja odbyło się walne zebranie Kółka Łow. „Łoś". Na przewodniczącego wybrano p. Neweckiego, na asesorów pp. Szynkmana i Szczypińskiego, na sekretarza p. Kietlińskiego. Wybrani zostali do zarządu: prezes p. Biller, wiceprezes p. Szynkman, sekretarz p. Kietliński, skarbnik p. Newecki, na łowczych pp. Gontarski i Stecki, na zastępców pp. Głażewski i Gierczyński; do komisji rewizyjnej pp. Bajer, Szczypiński i Prażmowski.

W wolnych wnioskach postawiłem wniosek zobowiązania każdego członka do prenumerowania „Łowca Polskiego", jedynego organu łowiectwa i bliskiego sercu każdemu z braci z pod sztandaru Świętego Huberta.

Z przykrością stwierdzić muszę, że p. przewodniczący nie dopuścił do dyskusji nad mym wnioskiem, ale uważał za stosowne zamknąć posiedzenie. Dodać należy, że na 25 członków, tylko (4) czterech prenumeruje „Łowca Polskiego", odsetek niewielki; mam nadzieję, że gdyby Szanowna Redakcja, jako premjum do każdego numeru (w zależności od sezonu) raczyła łaskawie dodać: kaczkę, kuropatwę, lub zająca, to napewno pozostali członkowie Kółka Łowieckiego „Łoś" byliby prenumeratorami „Łowca Polskiego". Cześć św. Hubertowi.

A. SZCZYPIŃSKI

Z PRZEMYSKIEGO KLUBU ŁOWIECKIEGO.

Doroczne, walne zebranie odbyło się dn. 12.IV. b. r. Oto niektóre dane. Klub posiada 33 członków. Dzierżawi 9 terenów: Borszowice, Hurko, Hermanowice, Małkowice, Medyka, Nehrybka, Orzechowce, Szechynie i Stubienko — za ogólną kwotę 1160 zł. Utrzymanie straży łowieckiej wynosi 360 zł. rocznie. Ogólny stan kasy wynosił 3.374 zł. Dzikie kaczki posiada tylko teren Hurko, na którym polowano dwójkami w oznaczonych dniach. Pozatem główną zwierzyną jest zając; kuropatw znikoma ilość, sarny przejściowe, lis bardzo rzadki. Polowań zbiorowych w minionym sezonie 1928/29 urządzono 9, t. j. po jednem polowaniu na każdym terenie, nadto Klub rozpoczyna rokrocznie polowania dopiero w listopadzie. Pozwoleń na polowanie w pojedynkę — nie wydawano. Gospodarka więc jest racjonalna. Należałoby z większym wysiłkiem zająć się dokarmianiem zwierzyny w zimie. Tej zimy już i tak nieliczne stadka kuropatw przepadły zupełnie. Zającom natomiast dały się we znaki, nietyle mrozy, ile nastawiane pętle w pobliżu domostw. Idąc po linji propagowania racjonalnej gospodarki; Klub zakupił broszurę kapitana Kobylańskiego p. t. „W obronie użytecznej zwierzyny łownej" i rozdał ją wszystkim członkom.

Wynik 9 zbiorowych polowań następujący: widziano ogółem 444 zajęcy, 9 sarn i 4 lisy. Dano 887 strzałów, ubijając 209 zajęcy i 1 sarnę. Nadto ustrzelono 9 kuropatw i 5 kaczek.

J. WŁ. KOBYLAŃSKI.

NOWI CZŁONKOWIE MIĘDZYNARODOWEGO TOWARZYSTWA OCHRONY ŻUBRA.

Społeczeństwo polskie zainteresowało się nową organizacją, mającą na celu podtrzymanie ginącego żubra. Zgłoszenia napływają w dalszym ciągu. Redakcja korzysta z okazji, aby prosić wszystkich swoich Czytelników o propagandę na rzecz Sekcji Polskiej Międzynar. Tow. Ochrony Żubra. Składki kierować należy pod adresem: Kazimierz Szczerkowski, Poznań, P. K. O. 211.653.

Następujące osoby przystąpiły do Tow. i opłaciły składkę za cały rok 1929:

Mierzyński Leonard, Sosnowiec
Żenczykowski Józef, Dr., Płock,
Wacławek Paweł, Królewska Huta,
Wacławek Maksymiljan, Katowice,
Woyno Mieczysław, Katowice,
Pieniążek Henryk, Katowice,
Liebich Brunon, Sosnowiec,
Willner Aleksander, Sosnowiec,
Obrąpalski Jan, Prof., Katowice,
Fusiecki Tadeusz, Sosnowiec,
Grychowski Stanisław, Sosnowiec,
Bojarski Jan, Sosnowiec,
Sadkowski Leon, Grodziec,
Przewłocki Władysław, Sosnowiec,
Tyblewski Ignacy, Sosnowiec,
Zaręba Stanisław, Grodziec,
Górnicki Michał, Sosnowiec,
Kowalewski Piotr, Dąbrowa Górnicza,
Wójcikiewicz Juljan, Sosnowiec,
Rypp Edward, Będzin.

OTWARCIE STRZELNICY Z. A. POCISK W REMBERTOWIE.

W dniu 9 czerwca r. b. o godzinie 1 m. 30 popoł. nastąpiło otwarcie strzelnicy w Rembertowie, urządzonej na terenach Zakładów Amunicyjnych Pocisk S. A. w Rembertowie staraniem tych Zakładów. Do obecnych imieniem Z. A. Pocisk S. A. przemawiał p. Piotr Drzewicki, witając przybyłych i dziękując za tak liczne odwiedzenie nowej placówki. Następnie dokonał poświęcenia strzelnicy proboszcz parafji Rembertów ks. Małek i przemówił do zebranych. W imieniu Komisji Sędziowskiej zabrał głos jenerał Hempel, podnosząc zasługi przy urządzeniu technicznem strzelnicy, p. Czesława Lisowskiego, znakomitego, oddanego sprawie i fachowego organizatora tego rodzaju przedsięwzięć.

Wiceminister Spraw Wojskowych, jen. Fabrycy, dokonał przecięcia symbolicznej wstęgi, oddał pierwszy strzał i w krótkiem przemówieniu powitał powstanie nowej placówki, poświęconej rozpowszechnieniu sztuki strzeleckiej. Po otwarciu strzelnicy rozpoczęły się zawody, których program był już ogłoszony w „Łowcu Polskim".

Nowa strzelnica wywiera na nowoprzybyłych nadzwyczaj miłe i estetyczne wrażenie. Poświęcona przedewszystkiem strzelaniu myśliwskiemu, bardzo starannie i celowo pomyślana i wykonana z placem do strzelania, otoczonym w pewnej oddali amfiteatrem starego, sosnowego lasu, jest miejscem, gdzie niewątpliwie zbierać się będą liczne rzesze naszych myśliwych, bądź by ćwiczyć się w sporcie strzeleckim, bądź by popisywać się nabytą sprawnością i zdobywać odznaczenia i nagrody, (komunikacja z Warszawą bądź tramwajem 24-A, bądź koleją do Rembertowa, wreszcie samochodem, jest nadzwyczaj ułatwiona). Zakładom Amunicyjnym Pocisk powinszować należy dokonanego dzieła.

Gościnnie podejmowani przez Z. A. Pocisk S. A. obecni nie bojąc się pod dachem nowej strzelnicy od czasu do czasu dość ulewnie popadającego deszczu, z zainteresowaniem przyglądali się rozpoczętym zawodom i podziwiali sprawność poszczególnych zawodników, wśród których znalazła się znaczna ilość wybitnych strzelb Polski.

WALENTY WŁODZIEMIERZ GARCZYŃSKI.

OD REDAKCJI.

Niebawem zaczynamy druk dziennika ekspedycji naukowej i myśliwskiej p. Czesława Odrowąża - Pieniążka do Abisynji południowej.

Ten niezwykły wyczyn sportowy zasługuje pod każdym względem, na najwyższe uznanie — gdyż daje obraz dokładny, co przy odwadze, wytrwałości i wszechstronnem, sportowem wyrobieniu — można zdobyć i osiągnąć.

P. Czesław Odrowąż-Pieniążek daje przykład, jak można badać kraje niebezpieczne, dzikie i nieznane — bez ochrony osobistej; jak najprymitywniejszymi na stosunki egzotyczne, środkami, można zdobyć rekordowe okazy i rzadkie trofea — jak zdobyć sławę prawdziwego sportsmena - myśliwego, jak można podróżować i organizować wyprawy egzotyczne, bez pomocy i subsydjów rządowych, skromnymi środkami własnymi, osiągając jednak przytem poważne w wydajności rezultaty.

Powyższe nie jest panegirykiem usłużnych przyjaciół-pochlebców, lecz głosem prawdziwego uznania braci z pod znaku „Św. Huberta".

Dziennik ten — książka pod tytułem „W cesarstwie Menelika", opatrzona licznemi fotografjami, rysunkami, wykresami i mapą, będzie drukowany w odcinkach w „Łowcu Polskim", poczem ukaże się w formie książki nakładem Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. Dzieło to zostało napisane i opracowane przy wybitnej współpracy brata autora, p. Jerzego Odrowąża - Pieniążka, który w ostatniej chwili zmuszony był zrezygnować z brania udziału w tej ciekawej wyprawie.

Kronika Myśliwska.

— Na terenie łowieckim dóbr Czaryż Tadeusza Siemieńskiego za czas od 15 stycznia 1928 roku do dnia 1 lutego 1929 roku zabito: Dzików odyńców 2; zajęcy w cztery strzelby 106 sztuk na polowaniu w pędzenia; kaczek 69 sztuk jednego dnia; kozłów, cietrzewi, bażantów i kuropatw nie strzelano. Szkodników: psów — 63; kotów — 58; łasic — 16; jastrzębi — 42, w tem gołębiarzy 17 i sokołów wędrownych 6; reszta rozmaite; wron — 176; srok — 11. Strzelb odebrano 3; wnykarzy złapano na gorącym uczynku 11 i sprawy zostały wygrane.

Tereny łowieckie powiatu Włoszczowskiego podzielić można na dwie kategorje: b. dobre pod względem ilości zwierzyny i ochrony, po prostu ośrodki kultury łowieckiej, oraz b. złe, poprostu rozpaczliwe.

Do pierwszej kategorji zaliczę Chrząstów, Moskorzew, Szczekociny, Nagłowice, Nieznanowice i nie wiem, czy już zaliczyć mogę Czaryż. Reszta terenów to pustka prawie zupełna.

Zima tegoroczna dała się we znaki straszliwie na tych terenach II kategorji.

Raubszyce tępili wszelkimi sposobami. Teraz jednak sprawy podawane o kłusownictwo i wnykarstwo są załatwiane znacznie szybciej, a kary naznaczane wyższe, zaczynają oddziaływać b. wybitnie. — Tadeusz Siemieński, delegat na pow. Włoszczowa.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Dn. 12 b. m. Państwowe Muzeum Zoologiczne w Warszawie urządziło przed wielkim ołtarzem w kościele św. Józefa Oblubieńca (po Kamerlickim) nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. **Jana Sztolcmana,** jako wicedyrektora tego Muzeum oraz za duszę ś. p. dyrektora Muzeum, dra **Antoniego J. Wagnera,** jako w pierwszą rocznicę jego zgonu.

W Dziekance pod Gnieznem zmarł ś. p. **Roman Węcławowicz,** nadleśny Mostowskiego nadleśnictwa

Dyrekcji lasów państwowych, urodzony w r. 1881 w Rydze. Ukończył wydział przyrodniczy w Dorpacie i akademję leśną w Saksonji Był znakomitym

Zmarł ś. p. **Darjusz Sommers**, inspektor lasów Ministerstwa Rolnictwa, urodzony w r. 1856 na Ukrainie. Ukończył instytut rolniczo - leśny w Puławach i akademję agronomiczną w Moskwie.

Ś. p. **Jan Bagniewski** zmarł we własnym majątku Leśnowoli pod Piasecznem. Zmarły był wieloletnim członkiem Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie.



— **Odwołanie „Dnia Leśnika i Łowcy".**—W związku z odezwą w sprawie „Dnia Leśnika i Łowcy", projektowanego na dzień 29 czerwca b. r. w Spale, Komitet Organizacyjny zawiadamia, że z powodu Powszechnej Wystawy w Poznaniu i związanych z nią leśników w dziale leśnym i łowieckim, uroczystość „Leśnika i Łowcy" została odłożona.

— **Ze zwierzyńca w Katowicach.** — Wycieczka amerykańska, która przybyła na powszechną wystawę krajową, przywiozła dla Zwierzyńca katowickiego niektóre okazy fauny. Również dyrektor cyrku, Sarasini, ofiarował zwierzyńcowi w Katowicach młodego słonia, tygrysa, lwa, dwa niedźwiedzie i dwa lamparty.

— **Tydzień ochrony przyrody.** — W czasie tygodnia ochrony przyrody, urządzonego w Krakowie, między innymi odczyty wygłosili: prof. dr. Szafer p. t. „Idea i organizacja ochrony przyrody", prof. dr. W. Goetel „Idea i realizacja parków narodowych u nas i zagranicą", prof. dr M. Siedlecki „Jak się chroni faunę". Odczytów słuchało około 800 osób. Specjalna wystawa mieściła się w olbrzymiej sali Instytutu Geograficznego U. J. (Grodzka 64). W dziale Parków narodowych były Tatry przedstawione w przepięknych fotografjach i mapach z grupą zwierząt tatrzańskich. Dalej w tym dziale wystawione były fotografje i mapki z Pienin, Czarnohory, Gór Świętokrzyskich i Babiej Góry. W dziale II „rezerwaty" wystawiono fotografje i mapki prawie ze wszystkich rezerwatów. Osobny ekran poświęcono Puszczy Białowieskiej.

Wystawiono wszystkie wydawnictwa Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Ligi Ochr. Przyrody, Tow. Tatrzańskiego, Tow. Krajoznawczego i prawie wszystkie inne publikacje, mające z ochroną przyrody coś wspólnego.

W dziale ochrony gatunkowej największem zainteresowaniem cieszyły się zwierzęta. Wystawiono tutaj szereg okazów wypchanych zwierząt, w Polsce ginących i wymagających ochrony. Więc z dużych ssaków przedewszystkiem łoś i niedźwiedź, które gromadziły stale tłumy młodzieży. Kilkadziesiąt okazów mniejszych ssaków i ptaków dopełniało reszty.

W dziale ochrony ptaków wystawiono komplet typów gniazd sztucznych.

Dział ochrony przyrody zagranicą reprezentowany był przez grupę zwierząt ginących w Australji oraz przez okazy rajskich ptaków.

— **Transmisja z cyrku.** — Stacja wileńska dokonała nowego, ciekawego eksperymentu, nadając transmisję z miejscowego cyrku. W czasie tej transmisji mikrofon sprawozdawczy w towarzystwie speakera i speakerki odwiedził oddział cyrku, zawierający klatki z dzikiemi zwierzętami. Mikrofon zapoznał radjo - słuchaczów z mieszkańcami dalekich dżungli, którzy pobudzeni przez swoich dozorców, „odzywali się niejednokrotnie, co chwytał czuły mikrofon. Barwne i pełne humoru objaśnienia pary speakerskiej dopełniały repertuaru tej jedynej w swoim rodzaju audycji. Transmisja dobrze się udała.

— **Z Bractw Kurkowych.** — W Wągrowcu godność króla kurkowego Bractwa Strzeleckiego zdobył p. Wencel, wice-królem został p. Kulpiński, rycerzem p. Gołębiowski.

W Zbąszyniu godność króla kurkowego zdobył p. Leon Caliński, I-szym rycerzem został p. A. Materna, II-im p. G. Schütz.

W Jarocinie — p. W. Pawelczyk z Bogusławia, rycerzami zostali pp. Opielewicz i Matuszewski.

W Oborniku królem p. Mieczysław Łukanowski, I-szym rycerzem p. J. Vogt, II-im p. A. Przybecki.

W Szubinie królem p. Franciszek Marek, I-szym rycerzem p. Z. Lipczyński, drugim dotychczasowy król p. St. Kapeliński.

W Mogilnie królem p. K. Stosius, I rycerzem p. Jan Wojdyła, II p. J. Paprotny.

W Ujściu królem p. P. Feldman, I ryc. p. P. Biehunek, II p. Fr. Schmidt.

Bractwo Kurkowe w Poniecu obchodziło uroczyście 300-lecie swego istnienia, połączone z poświęceniem nowego sztandaru i nowej strzelnicy.

— **Zachowanie się bocianów.** Niedawno podczas kontrolowania rewiru leśnego, przez który przechodzi smug przecięty wązkim strumykiem, zwróciło moją uwagę zachowanie się bocianów. Przed samym zachodem słońca zleciało na smug w jednej grupie osiem bocianów, z dalszych okolic — szukać pożywienia, po paru minutach nizko nad ziemią przyleciał dziewiąty. Gdy go grupa ośmiu bocianów zauważyła, zerwała się natychmiast i poczęła uciekać wzdłuż smugu; ów niegościnny bocian odprowadził ją około 500 metrów po za las i zawrócił.

Był to mieszkaniec pobliskiej wsi, koło której smug ten przechodzi. Obawiał się widocznie, że nie starczy mu pożywienia, skoro tak niegościnnie postąpił, wypraszając ze swego żerowiska drugich, którym w zapolu trudno o pożywienie, gdyż po polach wszystkie bagienka wyschły. — Mazury. A. Stelmaszyk.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**

NASTĘPNY NUMER „ŁOWCA POLSKIEGO".

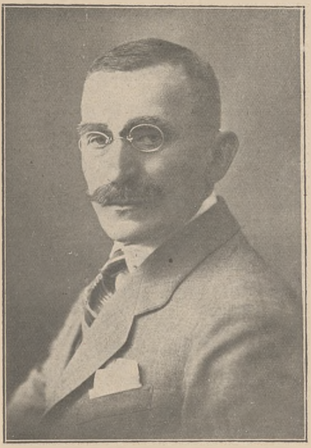
Z powodu trudności technicznych, związanych z wydrukowaniem powiększonego numeru poświęconego Wystawie Łowieckiej w Poznaniu, numer bieżący wydajemy jako podwójny: 25—26, wobec czego następny numer, 27-y, ukaże się w sobotę po 1 lipca.

ODNOWIENIE PRENUMERATY.

Do niniejszego numeru załączamy przekazy P. K. O. 80-82 dla P. P. Prenumeratorów półrocznych i kwartalnych, uprzejmie prosząc o jaknajrychlejsze nadesłanie prenumeraty.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

„POLOWCE", POWOZY, WOLANTY, BRYCZKI I T. P.



Na powszechnej wystawie krajowej w Poznaniu zwraca ogólną uwagę piękny powóz, wyrób warszawskiej fabryki powozów p. Wasilewskiego (Leszno 24).

„Trzeba przyznać, że taki piękny powóz, zaprzężony pięknemi końmi, również wobec automobilu wygląda okazale. W naszych stosunkach wiejskich wśród ziemiaństwa miłującego piękne rasowe konie, polowania, wycieczki sąsiedzkie, kuligi, piękny powóz nie został jeszcze wyparty przez automobil, tembardziej wśród zamożnego ziemiaństwa" — mówi do nas p. Wasilewski, jedyny dzisiaj przemysłowiec w szerokim stylu w tym dziale przemysłu, zamiłowany w swym zawodzie, jedyny dzisiaj przedstawiciel tradycji wyrobu pięknych powozów, tradycji tej, tych sławnych czasów, kiedy ludzie zamożni jeździli tylko powozami, kiedy z dobroci tego przemysłu słynęła Warszawa.

„Jako potomek rodziny ziemiańskiej odziedziczyłem po przodkach zamiłowanie do konia, jazdy konnej, powozem. Rodzina moja posiadała majątek ziemski Rębkowo pod Nasielskiem, wypadki powstania styczniowego, w którem brał udział dziad mój i ojciec były przyczyną ruiny majątkowej.

Jako syn ziemian, gdy obierałem zawód, wydał mi się najlepszym ten dział przemysłu, który ma styczność z koniem. Kształciłem się u Rentla, sławnego w całej Polsce, później przez 3 lata w Wiedniu i Czechosłowacji i w 1890 r. założyłem fabrykę powozów przy ul. Leszno 24, która dotychczas istnieje. Na placówce swej trwam już lat około 40 i nie ustępuję z niej. Mniej się zajmuję autami, więcej fabrykacją powozów, znajdujących jeszcze dzisiaj nabywców, rzadszych oczywiście, lecz i dla nich warto pracować, dla tych posiadaczy wyrobu luksusowego, jakim jest obecnie piękny powóz, kosztujący 4 — 6 tysięcy złotych, albowiem póty będzie istnieć ta fabrykacja, póki istnieć będzie wśród ziemiaństwa zamiłowanie do pięknych rasowych rumaków. A tej zalety ziemiaństwo nasze chyba nigdy nie straci.

Posiadam na składzie powozy gotowe od najskromniejszych do najwykwintniejszych.

Fabryka moja, która wyrabia na zamówienie, wyrabia też breki, amerykany, bryki różnych fasonów, wolanty, „polowce" do polowania — znaną jest w całej Rzeczypospolitej. Mamy zamówienia od Kancelarji Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, z Belwederu, z instytucyj rządowych, z wojskowości. I pracuję wytrwale z wiarą, że ziemiaństwo polskie i nadal popierać będzie moją fabrykę" — zakończył p. Wasilewski rozmowę.

OSADNIK do wód ściekowych syst. „BIOS"

Stan sanitarny Polski dotąd dużo pozostawia do życzenia. Dopiero pod wpływem zarządzeń departamentu zdrowia M. S. W. wzgl. zarządzeń wojewódzkich lub starościńskich, cokolwiek w tym kierunku zaczęło się robić.

Stosowanie przymusu do używania ustępów, brzmi paradoksalnie, a jednak jest dowodem jak jeszcze małe jest zrozumienie u nas w Polsce niebezpieczeństwa przenoszenia zarazy przez muchy, zabrudzone obuwie lub przez kurz. W całej Polsce teraz zaczęto budować różne doły. Zarówno w większych miastach, jak też małych, po dworach i urzędach, wszędzie domorośli majsterkowie budują „szambo". Utarło się dziś nazywać „szambo" więc wszyscy to budują. Tymczasem badanie naukowe nad wodą ściekową, nad jej oczyszczeniem, a szczególniej w dziedzinie biologicznej i biochemicznej zarówno u nas jak szczególniej zagranicą znalazło częściowe rozwiązanie.

Badanie Imhoffa, polegające na oddzielanie wszelkich zawiesin zawartych w wodzie ściekowej, a wodą tak oswobodzoną przepuszczać dalej do odpływu, znalazło szereg rozwiązań konstrukcyjnych.

Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w pawilonie Związku polskich fabryk Portland Cementu wystawiony jest osadnik syst. „Bios" patentu inżynierów B. Komarnickiego A. Około-Kułaka. Osadnik składa się z części i przewożony jest częściami i dopiero na miejscu się składa. Jego urządzenie polega na tem, że wody ściekowe z kuchni, łazienki i ustępu tracą w osadniku zawiesiny, zaś woda czysta uchodzi do odpływu. Zawiesiny zaś w osadniku przetwarzają się biologicznie i chemicznie na osad opadający na dno osadnika komory gnilnej. Osad ten po przegniciu jest bezwonny, szary, będący doskonałym nawozem i służy pod uprawę roli.

Wydobywać go należy w długich okresach czasu, do roku, nawet rzadziej. Tworzący się gaz metan jest bezbarwny, bezwonny uchodzi bądź pionem na przewodzie dopływowym bądź też przewodem odpływowym. Osadnik zapuszcza się poniżej powierzchni dziedzińca lub ogrodu i jego pojemność jest zależna od ilości mieszkańców danego domu. Może być głębszy lub płytszy, stawiony pojedyńczo lub szeregowo. Osadnik stale jest napełniony wodą i przewód odpływowy stoi pod ciśnieniem słupa 50 m/m. Osadnik „Bios" wymaga ustępów spłókiwanych wodą i jest wykonany z betonu specjalnie uszczelnionego i uzbrojonego.

Brak kanalizacji zmusza stosować osadniki. Nawet kanalizacja stoi wobec zagadnienia co należy robić z wodą odpływową. Wszak zanieczyszczać rzek nie wolno! Przeto wskazane jest aby każden dom posiadał swój własny „dołek biologiczny", tymbardziej, że jest zupełnie pozbawione wszelkiego zapachu.

Osadnik „Bios" znaleźć winien zastosowanie w miastach pozbawionych kanalizacji, w miasteczkach, w dworach, urzędach, letniskach, uzdrojowiskach, koszarach, dworcach" szkołach, hotelach, szpitalach i wszędzie tam, gdzie dbać należy o higienę.

Ustępy mogą być urządzane w mieszkaniu lub sieni, przez co uniknąć można wychodzenia na dwór w dni słotne i zimne. Osadnik jest naczyniem zupełnie szczelnie zamkniętym, uszczelniony wodą. Żadnych smrodów, żadnego dostępu dla much.

Osadniki „Bios" są ostatnim wyrazem techniki. Woda z odpływu odprowadzoną być może do otwartych rowów lub rozsączoną do ziemi, w każdym jednak razie musi być dostosowana do miejscowych warunków.

Osadniki „Bios" wyrabiane są fabrycznie przez fabrykę wyrobów betonowych. Bios. spół. ogr. odp. Warszawa, Solec 51.

A. OKOŁO-KUŁAK inż.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.